

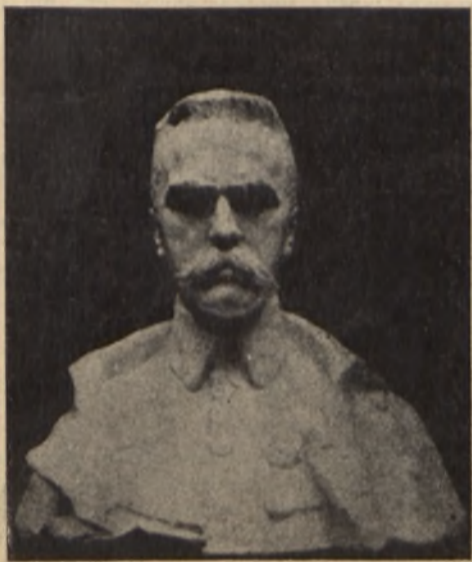
nos. 12442/3/27

TREŚĆ: AL. S.: Józef Piłsudski o podstawach ustroju * K. IRZYKOWSKI: Monachomachja humanistyczna, II * H. MOŚCICKI: Szymon Askenazy * W. PIETRZAK: W smudze cienia * M. CHOROMAŃSKI: Inne, słowicze życie * E. RUTKOWSKA: Czy nowy powiew romantyzmu? * SZTUKA I ANTENA: J.



MORAWSKA, TADEUSZ ŁOPALEWSKI: Z doświadczeń autorów radiowych * J. A. TESLAR: O twórczości malarskiej Leopolda Gottlieba * B. KORZENIEWSKI: Teatr * X. P. CHOJNACKI: Psychologia * AL. S., J. SZCZAWIEJ, S. PAPÉE: Kronika * H. ŻYCZYŃSKI, W. CHARKIEWICZ: Polemika.

JÓZEF PIŁSUDSKI O PODSTAWACH USTROJU



K. LASZCZKA

R. 1916

Wydaje mi się bezsporne, że z tego, co napisano i mówiono o Józefie Piłsudskim, najtrafniejsze jest to, co On sam o sobie powiedział. Przenikliwość, dogłębność, jasność widzenia rzeczy i ludzi nie zatrzymała się u Marszałka na jego osobie. Szczerość bezwzględna nadaje tym autocharakterystykom czar wyjątkowy i ogromną sugestywność. Piłsudski — to wielkość prosto i twardo. Nic z pozy, megalomanji, dekoracji. Jak przedziwnie kojarzy się prostoduszny humor z poczuciem własnej wartości choćby w tem wyznaniu: „Pierwszem moim dążeniem było zespolić to, co jest siłą. Korzystałem więc z każdej okazji, żeby siły wojskowe skupić w jednym ręku, a wobec dziwnej może mojej zarozumiałości wolałem, żeby one skupiły się w moim ręku”.

Najbliższe sercu Marszałka było wojsko. „Jestem żołnierzem z ducha i usposobienia...” (6 list. 1916, o. c. IV. 55); „...wszystko, co jest w mnie sercem i uczuciem, ciągnie tam, gdzie oni, drodzy żołnierze i towarzysze broni...” (15. III. 1917, ib. 88). Sztuka wojskowa była dla Marszałka nie tylko polem wspaniałych koncepcji, ale i najserdeczniejszym umiłowaniem.

Głębia umysłu i wnikliwość cechuje jednak wszystko, czem Józef Piłsudski się interesował. Do zagadnień państwowych przystępował w sposób zdumiewająco przedmiotowy i — przekonujący. Rozumiał jasno — szkodliwość frazesu. „Ogromnie rozpowszechnione jest u nas pojęcie wytwarzanie przeszkód i panowanie słowa nad rzeczywistością. Na każdym kroku widać, jak ludzie tworzą fetysze, argumenty i przeróżne twory, które żyjąc życiem własnym, stają się potem dla ich twórców niepotrzebną zaporą (IV. 31); „...hylem uważany... za człowieka, który z zamiłowaniem walczy przeciw słowom, walczy przeciw świętościom, walczy przeciw słowom, które treści nie mają. ...Był to mój styl personalny... łatwiej pustość dźwięków i słów spostrzegłem i łatwiej sens rzeczy chwytalem, bo mnie nigdy... żadna świętość słów, żadne ukłony w kierunku takiego czy innego pustego dźwięku nie brały” (16. XI. 1924, o. c., t. VIII. str. 171).

Mocne słowa znalazł Marszałek dla uwytknienia ujemnych konsekwencji kłamstwa w życiu państwem. „Państwa i narody, które na podstawie kłamstwa, na podstawie

negowania prawdy podają myśl polityczną, dążą do zguby. Ten jest słabszy, kto buduje na kłamstwie i fałszu, w porównaniu z tym, który buduje na prawdzie. — Przeciwdziałanie oszczerstwu, jako metodzie politycznej, jest jednym z najtrudniejszych naszych zagadnień społecznych, jest rzeczą wielką, na którą gdyby Polska się zdobyła, zdohylałaby wielką siłą. Te oszczerstwa, ta uporczywa metoda łgarstwa, którą to zdolnością odznaczają się pewne stronnictwa, mające wpływ na społeczeństwo, na dusze wielu Polaków, mają źródło swe w niewolnictwie” (6. VIII. 1923); „...co mnie zawsze najbardziej dziwiło — to, że to, co my nazywamy plotką, żartem czy wynysłem, może mieć u nas tak niezwykłą siłę sugestywną, siłę jednakową w stosunku do warstw wykształconych i niewykształconych...” (6. I. 1923).

Burzyła się prawda Marszałka w takiej atmosferze, gdyż — jak mówił — „przewyższajony jestem do zawierania jasnych i dokładnych umów, do szanowania tych umów bez *arrière-pensée*, lecz zarazem żądającego uszanowania i wszystkiego, co jest honorem i poczuciem godności u siebie” (15. III. 1917, o. c., IV. 87). Podkreślał też Marszałek znaczenie poczucia odpowiedzialności, bez którego „żadna ludowa państwa trwałych rezultatów dać nie może” (1923).

Marszałek miał niezwykle silne wycucie rzeczywistości. Stapał też po niej krokiem pewnym i władczym. I znow lepiej, niż ktokolwiek, wyraził to sam z właściwą Mu lapidarnością, odpowiedzialnością słowa: „...jestem człowiekiem realnym, biorę rzeczy tak, jak one są, a nie tak, jakbym chciał je widzieć... biorę te rzeczy jako praktyk... starałem się zawsze patrzeć na nie bez żadnej złudny, bez żadnej iluzji” (o. c., IV. 80). To też powie: „Utopie często mogą być sympatyczne, ale nie wtedy, gdy są przeprowadzane siłą” (ib. 143). Ogrom wysiłków Marszałka doprowadził do wielkości osiągnięć tylko dlatego, że głęboko był zakotwiczony w realizmie politycznym. „Realna polityka musi się przystosować do wszystkiego, co jest faktem i rzeczywistością” (ib. 132). U Polaków gra „większą rolę nastrój, aniżeli rozważa i argumenty; ażeby kierować Polakami, trzeba stworzyć odpowiedni nastrój” (ib. 59). A „nie wolno przechodzić do porządku dziennego nad ustrojem i usposobieniem społeczeństwa, bo to się mści” (ib. 127). Nic nigdy nie przesłaniało trzeźwości Piłsudskiego. „Państwa te (Austria i Niemcy) — pisał 1. VI. 1917 — mają swe konkretne interesy, a gdy my nie będziemy mieli swej wewnętrznej siły i nie przeciwstawimy się, nawet zawiązując z nimi sojusz, to w gruncie rzeczy nie będziemy mieli żadnej podstawy dla realnej polityki polskiej” (ib. 132). Mądre, ostrzegawcze słowa!

Wiadomo powszechnie, że Marszałek interesował się głęboko historią, sam pisząc cenne prace z tego zakresu. Podejście do zagadnień zbliżało Go jednak często do stanowiska teoretyka, socjologa. „...jestem człowiekiem, który historję lubi, który nad historję się zastanawiał i który w niej nie raz szukał rozwiązania zagadnień teraźniejszości i wskazówek dla przyszłości” (3 lipca 1923).

Rozmyślenia socjologiczne prowadziły do wyników, może najdobitniej ujętych w znanej haśle: „zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym i silniej-

szym” (10. IX. 1923). Ten nacisk na wartość człowieka, która ostatecznie decyduje w stosunkach społecznych, był zrozumiały u jednostki o tak wysokim *niveau* moralnym. „Abstrakcyjna logika Marxa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu” (1903).

Idea centralną światopoglądu Piłsudskiego — jest idea pracy. „Jestem człowiekiem pracy, który jest dumny z tego, że własną pracą i wysiłkiem mógł uczynić tak dużo na świecie i w Polsce” (4. IX. 1923, o. c., VI. 229). „...jest żywiol nie boski, lecz ludzki i może dlatego człowiek mało go szanuje. Żywiol ten jest praca, praca ludzkich mózgów, praca ludzkich serc i praca ludzkich mięśni. Specjalnie człowiek nie chce szanować największej potęgi swego żywiolu: pracy z biorem, chociaż ta właśnie największe cuda tworzy”. Ten pogląd Marszałka przeszedł do naszej Konstytucji z 23 kwietnia 1935, której art. 8-y głosi: „Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej”.

Praca dla Marszałka była największą radością, sensem życia. „...mam tyle rozkoszy w tem, co tworzę, że propositu nie może być mowy o zasłudzie...” (30. III. 1916, o. c., IV. 32). Nie o zaszczyty, marność szychu dbał Człowiek w szarej maciejówce. Piękne też wzory miał przed oczyma, choć nie zwrócono na to dostatecznej uwagi. W lutym 1924 pisał we wstępie do rozprawy Mileśa (gen. Kutrzeby) *Naczelni Wodzowie*: „...nadzwyczajna siła cywizmu republiki rzymskiej zostawiła także niezrównane wzory takich właśnie „dictatorów”. Któż bowiem z marzycieli, śniących o silnych demokracjach, nie zna imienia Cincinata. Po upłynięciu swego półroczia i zwycięskim usunięciu niebezpieczeństwa wrócił spokojnie do przerwanej pracy przy uprawie swego pola”. Państwo potrzebuje ludzi rozumnych, godnych i dzielnych. Bo „państwa przez gadanie nie tworzy się; państwo tworzy się wola...” (26. IV. 1917, o. c., IV. 100). „Jedna zaś — silna wola porusza wszystkie słabe...” (18. VIII. 1923, o. c., VI. 185). Posługiwał się tu Marszałek analogią z wojskowością. „Czem jest dowództwo? Jest koniecznym rozkazem, wolą jednostki nad zbiorowiskiem ludzi; żadna praca ludzka bez dowództwa nie da się pomyśleć” (16. VIII., ib. 169). Niezlomna wola doprowadzenia do końca swych zamie-

rzeń cechowała też wszelkie poczynania Marszałka. „Zdawałem sobie zawsze sprawę z trudności i usiłowaniem mojem było zawsze ludzi ambicję przelamywania tych trudności. Wyznaję całkowicie zasadę, którą wypowiedział największy człowiek na świecie — Napoleon: Sztuką łamania przeszkód jest sztuka nieuważania tego lub owego za przeszkodę” (o. c., IV. 80).

Gdy praca jest pasją, największą potrzebą jednostki, wówczas człowiek o odpowiednim profilu moralnym nie troszczy się o oceny drugich. Autonomia moralna tego typu jest udziałem tylko ludzi wielkich. I z tego punktu widzenia sylweta Józefa Piłsudskiego rysuje się w właściwych proporcjach. Wiedział, że ocena obiektu w n a musi być zgodna z jego własną: „...gdy się zdecydowałem stanąć spokojnie przed sądem nie waszym, lecz historji, stanąć spokojnie ze swoją czynnością i swojemi pracami...” (1923, o. c., IV. 139). Bo historja to „wielka mistrzyni życia i wielki sędzia czynów ludzkich...” (ib. 137). Refleks takiego ujęcia znajdujemy w art. 2-y Konstytucji kwietniowej (odpowiedzialność Prezydenta wobec historji za losy Państwa).

Konstrukcja ustrojowa nowej Konstytucji zawdzięcza poglądom Marszałka m. i. wprowadzenie momentów moralnych. Jak cenil poczucie honoru, o tem świadczą choćby te słowa: „...w poszukiwaniu środków dla obrony czci, dla obrony honoru jestem bezwzględny” (6. VIII. 1923).

W tem szkicowym ujęciu nie można zawrzeć całokształtu poglądów Marszałka na podstawowe kwestje ustrojowe. Nie to też było mojem zadaniem. Wydaje mi się, że dotychczas nikt nie pokusił się o systematyczne opracowanie zapatrywań ustrojowych Marszałka Piłsudskiego, pragnęłam więc bodaj pokrótce wskazać na potrzebę takiego opracowania.

Zmysł rzeczywistości łączył Marszałek harmonijnie z myślą ulepszenia, poprawy drogą ewolucyjną, stopniowych zmian i reform. Poglądy Marszałka, oparte na dużem doświadczeniu, obserwacji, wyzbyte były zupełnie doktrynerstwem. Najlepszym sprawdzianem ich trafności była też rzeczywistość, którą Marszałek musiał zarówno kształtować, jak i przewidywać. Dalekowiedztwo — to jeszcze jeden laur w wieńcu sławy Józefa Piłsudskiego.

AL. S.



Naczelnik Państwa, Mgr. Ratti (Papież Pius XI), premier I. Paderewski i ambasador Hoover w Warszawie w r. 1919

¹ Józef Piłsudski: *Pisma—Mowy—Rozkazy*, Warszawa 1930/31, Towarzystwo Wydawnicze „Polska Zjednoczona”, t. IV, str. 142.

K 1669/86/47

Wydawnictwo
Lubuskie

MONACHOMACHJA HUMANISTYCZNA *

II

W Polsce walki o zasady nie bywają zadane. Nie „zaciętrzewiamy się“, nie jesteśmy „pryncypialni“ jak oto ten Moskal. Prof. Grabowski wykład swój zakończył słowami: „polska literaturologia unika krańcowości“. Obecny na Zjeździe Czech Krejczy, stwierdziwszy, że „inflacja metod“ jest taka sama w Czechach, popisał te słowa polskiego profesora z uznaniem: Kochajcie się! Tylko w Rosji zwalczały się wściekle metody formalistyczne i socjologiczne.

Wprawdzie gazety donosiły, że na Zjeździe odbyły się jakieś „batalje“, lecz robiono to może dla sensacji, żeby reportaż ożywił, a może w dobrej intencji dla uratowania honoru polskiej nauki. Kwestja jest, czy nauce przystoi wojowniczość, a jeżeli tak, to jaka.

Byli na Zjeździe sceptycy. Sceptycyzm prof. Drogoszewskiego wobec nawalu kierunków w literaturologii on sam określił skromnie jako „zakłopotanie“: „Jestem nieuleczalny pozytywista i determinista. Jak słyszę, dąży się do tego, żeby dzieło sztuki zastąpić twórczością krytyka czy historyka literatury. Jeżeli kto wymaga, żeby szukać „samej istoty dzieła“, to moje nalogi każą mi zapytać: co to jest ta istota? Niektóre próby stosowania t. zw. intuicji do wykrywania tajemnicy dzieła, zrobiły na mnie fatalne wrażenie. Wprowadza się pierwiastek subiektywny, mówi się: dzieło trzeba przeżyć. Ależ każdy zawsze przeżywa po swojemu. Nie mogę tu dostrzec obiektywnej podstawy obowiązującej. Mówi się: „gdzie komentarze potrzebne, tam niema piękna“. A Dante, a Beniuowski? I co to jest to „piękno“? Ja, zapóźniony pozytywista, z niepokojem słucham tego wszystkiego. Jedno mi się tylko podobało, czego się dowiedziałem z referatu prof. Czernego: że metoda psychoanalizy tak mało się przyjęła“.

Inny był sceptycyzm młodego dra Piszczkowskiego wobec tego, jak on się wyraził, chaosu w metodologii. Nietylko chce niemal że podstawić talent w miejsce metody, lecz nadto powiada: skrajny formalizm jest rzeczą przewyższoną już przed 8 laty; wciąż wysuwa się postulaty metodyczne, ale się ich nie stosuje; mybysmy pragnęli teraz weryfikacji przez próby konkretne.

A prof. Krzyżanowski, który przewodniczył na ostatnim, finiszowem posiedzeniu i zgilotnował referat prof. Ingardena jako przeciągnięty poza obowiązkowy kwadrans, zakończył dyskusję nad tymże referatem ironiczną uwagą: przypominanie rzeczy prostych ma swoją wartość, gdyż budzi szeroki rozgłos.

Odniosłem wrażenie, jakby oprócz sporów merytorycznych w grze także były lekkie zazdrości między różnymi klasztorami. OO. Pracykarze i Tekściarze, klasztor najstarszy, próbują zepsuć smak OO. Metodystom i OO. Formalistom, wmawiając w nich, że to i tamto już było, że teraz zmienia się moda. A filozof Ingarden chadza wśród nich niby jakiś protestant czy Turek; on zaś ze swej strony próbuje Ojcom zepsuć ich pobożne igraszki, gdy mówi: stać, nie spieszyć się; zaczekajcie 10, 15 lat, aż fenomenologia zbada dzieło literackie „jako takie“, wtedy będziecie mieli fundament; jakiś porządek kolejności musi być...

Uważam takie postawienie sprawy przez prof. Ingardena za niefilozoficzne. Nie może być żadnego „przedtem“ i „potem“ w tej dziedzinie nauk. Buduje się w niej także od dachu, i kto wie czy to nie jest znamienne dla tej dziedziny, sąsiadującej o ścianę z twórczością. Wszystko tu jest przypadkowe, a jeżeli są konsekwencje, to przesłają się automatycznie. Coprawda filozofowie niemieccy lubią zajęcia w „naukach duchowych“ ustawić w szeregi konsekwencji, od *Wendung vom* do *Wendung zum*. Więc może być, że nowa fenomenologia nie spadła jako przypadek. Ale jeżeli ona wabi jak syrena: poczekajcie na mnie, gwarantuję wam przyszłość, — kto nam zagwarantuje samą fenomenologię?

Metoda i chaos? I one zdają mi się być nieodłączną cechą tej dziedziny, w której sprawdziany są tak wężle i ruchome, że największą prawdę trudno odróżnić od największej błagi, — w której ścisłość jest jak gdyby chimera a poza ścisłością wywołuje urąganie kluczników od matematyki, fizyki, logiki, Winawera, Chwistka. A właśnie we Lwowie przebywa i również naucza prof. Chwistek, który w swem świeżo wydanem dziele *Granice nauki*, dufny w swoją, już prawie gotową maszynę logiczną, zaczyna tak sobie mimochodem i prof. Ingardena i warszawskiego Sokratesa, prof. Kotarbińskiego. Kto z humanistów da rady temu lwowskiemu smokowi?

Weryfikacja?! Ogień próby? Na zjeździe przytaczano (prof. Grabowski, insp. Szyszowski) próby stosowania nowych czy mieszanych metod: prace Suchodolskiego o Goszczyńskim, Weintrauba o stylu Kochanowskiego, Witkowskiej o stylu Korzeniow-

skiego, Jurgielewiczowej o technice powieści Żeromskiego, Kota o Skardze, Kleinera o bajkach Krasickiego i inne. Nie mam kompetencji w tych sprawach. Ale zdaje mi się, że nawet brak dzieł stosujących nie odbiera wartości awanturniczemu wyprawom na poszukiwanie metod. Po pierwsze, w Polsce wobec szczupłej ilości czytelników niewiele można drukować tego rodzaju rozpraw literackich; coż tu mówić o eksperymentach w pisaniu historii literatury, kiedy historyk musi się liczyć z wydawcą, a wydawca z czytelnikiem, a czytelnik nie chce geisteswissenschaftowego eksperymentu, lecz chce mieć kompendjum, zawierające niezbędne wiadomości i komentarze, bo piękności dzieła to już on sobie sam rozpozna i spreparuje, — i czytelnik, bodaj że ma słusność! Po drugie: jeżeli Vossler stwierdza, że zlemi metodami można pisać dobre rozprawy, to wiadać, że nawet ogień próby daje wyrok fałszywy.

A po trzecie, i najważniejsze: Żyjemy w okresie planizmu, w okresie wynalazczości w zakresie planów, metod i teorii. Nie wszystko musi i może legitymować się stosownością, gdyż jest to twórczość swowolności, — może quasi-twórczość, a jednak coś samowystarczającego, coś o czym można mówić, rozprawiać, a nawet — jak widzieliśmy — gorączkować i marzyć bez weryfikujących przykładów. Dumą badacza literackiego wobec twórcy jest metoda, dźwignia, chwyt, za którego pomocą on kongenialnie odsłania i amplifikuje chwyt poety.

Lecz co do samej monachomachji, zdaje mi się, że przeor formalistów prof. Kridl pozostał na placu. Nie mocą zwycięstwa, lecz mocą jakiejś inercji w samej walce, mocą tego, że ten kierunek — równoległy do awangardyzmu w poezji — zawiera w sobie na razie najwięcej intelektualnego, nieskompromitowanego jeszcze terroru i najwięcej — rzekomych — ułatwień dla młodzieży („nie walcować“, „nie moralizować“). Lecz jeżeliby chodziło o stronę merytoryczną, to na Zjeździe samym walka została nierozegrana, argumenty się minęły. Coś coby się nie mogło stać na seminarjum. O. Manfred nie uderzył w to miejsce, które w teorii rozstrzygniętej przez O. Juljusza było najsilniejsze: że jednak także sprawy poza dziełem literackim będące musi się wciągać w krąg badania, ponieważ one w pewien sposób weszły w organizm dzieła, jako „budulec przedstawieniowo-słowny“ i stanowią jego „walory potencjalne“. Prof. Kridl stał na stanowisku izolacji dzieła jako odrębnego — i odrąbanego — przedmiotu badań; raz tylko, mówiąc o problematyce, wspominał o „badaniu jej funkcji literackiej i wyrazu artystycznego“. A więc i problematyka, sama, nietylko środki sugestji, miałyby jakąś „funkcję literacką“. O to właśnie chodzi, tu jest oś zagadnienia. Ale nie chcę się tutaj rozjuszać znowu starą kwestją: treść i forma, gdyż poświęciłem jej — snadź nadaremnie — całą książkę (*Walka o treść*), w której bronilem „treści“ przeciw formi- stom w sposób analogiczny, jak prof. Kleiner broni prawa do rozszerzenia zakresu badań literackich poza dzieło i jego tekst. Zresztą prof. Kridl zapowiedział na Zjeździe wydanictwo p. t. *Z zagadnień poetyki* — więc będzie nieraz sposobność odsłonić jej przesady.

Od innej strony, posilkując mimowoli prof. Kleinera, włączył się do głównej dyskusji prof. Górski wykładem *Literatura a prądy filozoficzne*, gdzie wykazywał wpływ „infiltracyjny“ tych ostatnich już nie na osobowość artysty lecz wprost na problematykę i nawet na styl dzieła. Chodzi o nową trudną dziedzinę tak niesłusznie lekceważoną dziś „wpływologii“, o truizmy filozoficzne, które twórcy przejmują ze swej epoki, np. Mickiewicz truizmy racjonalistyczne. Ile wiedzy, i jak subtelnych narzędzi tu potrzeba! — Natomiast pozytywista prof. Drogoszewski mimowoli wystąpił w roli formalisty, gdy w ciekawym wykładzie *Typy a charaktery* ten dylemat techniczny rozstrzygnął tak: ani jedno ani drugie, tylko kreacja, twórczość, koncepcja niezawisła, poeta nie jest przyrodnikiem.

Ale metody metodami, — jakże przy nich czy mimo nich wygląda nauka uniwersytecka? W sekcji pedagogicznej prof. Saloni podniósł alarm, że uczniowie gimnazjalni nie umieją pisać, bo nauczyciele też nie umieją i tego i innych rzeczy. Dyskusja była gorąca, odpowiadano, że uniwersytet nie może być nianką, te sprawy należą albo do szkoły średniej, albo do instytutu pedagogicznego albo do samodzielnej pracy młodego człowieka. — *Osobowością nauczyciela polonisty* zajął się prof. Klemensiewicz, kładąc m. in. nacisk na ćwiczenia w wymowie. Sprawę doboru lektury z literatury współczesnej omawiała dr. dr. Mianowska, Osiecka, Garbaczewska. — I na samym końcu Zjazdu właśnie z pośród pedagogów został dany wystrzał na rzecz formalizmu. Inspektor Ministerstwa W. R. i O. P. p. Szyszowski w wziętym i mocnym wykładzie: *Podstawy dydaktyczne nauczania literatury w szkole średniej a zakres metody nowych badań naukowo-literackich* oświadczył się za bezpośrednim przeżywaniem i opisywa-

niem dzieła jako za metodą szkolną, — precz z komentarzami i z analizą; należy punkt ciężkości w nauczaniu literatury przesunąć z kryteriów rzeczowych na kryteria formalne, z treści na formę, z ideologii na artyzm. Uczniowie i tak z natury zbyt skłonni są do oceniania dzieł ze stanowiska prawdy życiowej i ze stanowiska tego, czy dzieło da się wcielić łatwo w system polityki bieżącej. Jak to miło, gdy ktoś ze sfer urzędowych mówi w ten sposób o — ideologii!

Więc oto ostatni paroksyzm głównej dyskusji. Prelegenta popierał prof. Kridl i Kucharski, sceptycy dr. Piszczkowski, p. Rzeuska zażęgnyła nieporozumienia, gdyż ideologia a forma to jedno ciało. P. Szyszowski przytacza, że w szkole na tle *Ludzi bezdomnych* roztrząsano kwestję czy można pogodzić szczęście osobiste ze szczęściem ogółu, — ileż znajomości życia trzeba, by o tem rozprawiać! A przewodniczący prof. Krzyżanowski, już nie w zwykłej dyskusji lecz nawet w przemówieniu zamykającym Zjazd, więc prawie że oficjalnie, powiedział: „Z niepokojem spoglądam na ostatnie momenty dyskusji, mianowicie na radość jednego z przedstawicieli hojującej teorii... Przed 5 laty, na Zjeździe im. Kochanowskiego była modna Kulturgeschichte i zaczęto uprawiać kulturoznawstwo polskie, choć to były problemy jeszcze przez naukę niezalutowane. Dziś obawiam się, czy rzecz teoretycznie jeszcze nie skryształizowaną można popularyzować, czy nie lepiej zaczekać, aż heroldowie teorii literatury sami między sobą się porozumieją choćby w rzeczach prostych...“

Następny Zjazd przewiduje prof. Krzyżanowski w r. 1943, roku Janickiego i Kopernika. Czy do tego czasu osiwieje formalizm i jakie będzie jego potomstwo?

KAROL IRZYKOWSKI

SZYMON ASKENAZY

W osobie Szymona Askenazego schodzi do grobu jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej nauki historycznej. Przebudzenie z martwoty historjografii polskiej w zakresie dziejów najnowszych, wyniesienie jej do europejskiego poziomu i umożliwienie zwycięskiej rywalizacji z dziejopisarstwem obcym, a zazwyczaj nam wrogiem — oto główne tytuły do jego zasług, wspieranych niepospolitą erudycją, wytrwałą pracą i świetnym talentem pisarskim.

Szymon Askenazy urodził się w r. 1867 w Zawichoście. Ukończył z medalem II-gie gimnazjum w Warszawie, gdzie śród nauczycieli miał znanego historyka literatury polskiej Romana Plenkiewicza i Adama Antoniego Kryńskiego. Następnie słuchał prawa na uniwersytecie warszawskim, w szczególności poświęcając się studjom w zakresie prawa cywilnego pod kierunkiem słynnego cywiliisty, prof. Holewińskiego, oraz badając prawo państwowe. Z tego ostatniego przedmiotu złożył rozprawę kandydacką p. t. *Poglądy polityczne encyklopedystów*, przeznaczoną przez wydział do druku, lecz wtedy nieogłoszoną wskutek pisemnego protestu osławionego polakożercy, profesora statystyki i ekonomji poli-

tycznej, Simonenki, który pracę powyższą uznał za „zarażoną duchem rewolucyjnym“.

Podczas pobytu w uniwersytecie przyszedł autor *Lukasieńskiego* brał wydatny udział w koleżeńskim życiu akademickim. Po ukończeniu prawa Askenazy urzędował przeszło dwa lata, jako kandydat do posad sądowych przy sądzie okręgowym warszawskim, i wtedy miał sposobność przyjrzeć się zblizka gospodarce biurokratycznej w Królestwie w tak ważnej dziedzinie, jaką jest sądownictwo. Jednakże zamiłowania historyczne wzięły w nim górę. Postanowił udać się na studia do Getyngi. „Wybrałem ten uniwersytet ze względu na czołowe jego w dyscyplinie historycznej stanowisko... Zaś nienajmniej ze względu na starodawny tej wszechnicy do Polski stosunek“. Bywali wszakże tutaj: Józef Sulkowski, Leleweł, Wielopolski, Pawiński...

Pod kierunkiem znakomitych uczonych, przedewszystkiem zaś szczerze przyjaznego Polce prof. Maxa Lehmana, któremu serdecznie poświęcił wspomnienie, — ostatnią swą drukowaną pracę, — zdobywa Askenazy doktorat po złożeniu rozprawy *Die letzte polnische Königswahl* (1894). Niebawem zostaje docentem (1898), a po czterech latach nadzwyczajnym profesorem historii powszechnej w uniwersytecie lwowskim, wreszcie w 1907 r. profesorem zwyczajnym; równocześnie Akademia Umiejętności i Warszawskie Towarzystwo Naukowe zaliczają go w poczet swoich członków.

Po pierwszej książce polskiej *Studia historyczno-krytyczne* (wyd. w 1894, 2-gie wyd. 1897), ogłasza w czasopiśmie, głównie w *Kwartalniku Historycznym*, *Bibliotece Warszawskiej*, *Tygodniku Ilustrowanym*, *Kurjerze Warszawskim*, mnóstwo rozpraw, krytyk, szkiców i impresyj, w których niezwykła wiedza spajała się ze świetnością stylu, budzącego podziw i uznanie Wyspiańskiego, Orzeszkowej, Weyssenhoffa, Chrzastowskiego, Wojciechowskiego. Zblizając się co do metody pisarskiej do znakomitego autora *Dziejów Anglii*, Askenazy słusznie może być nazwany „polskim Macaulayem“.

Powyższe prace pomniejszych, zebrane następnie w dwa tomy szkiców p. t. *Dwa stulecia* (1901, 1910 r.) i *trzy Wcasów historycznych* (1902, 1904, 1910), stanowią niejako wstęp do dzieł rozleglejszych. *Przymierze polsko-pruskie*, wydane „w najgrubszym mroku niewoli“ (1900 r.) i „po podwójnym czadzie i zawodzie ugodowym“, miało „roztrząsany tutaj, skroś polityczny, przedmiot dziejowy od obustronnej (pruskiej i rosyjskiej) ugodowej uchronić ideologii. A więc zawarować pełne prawo Polski Wielkiego Sejmu do akcji przeciw jarzmiącej Rosji. A więc wydobyc pełne bezprawie krwawoprzysiężnych względem Polski Prus. Jedno i drugie, a wraz i trzecie, uchylenie fikcji opieki austriackiej nad Ustawą Majową, wymagało oparcia badania na wolnej od troistej anachronizmu niewoli, niepodległej ocenie źródeł i moralno-politycznych zagadnień“.

W SMUDZE CIENIA

Gdy nocą lepką głuchną w mgłę niskie moczary
i za stogami siana las zastyga czarno,
wodę z ostrych traw płocze pić przychodzą sarny.

Jakim łądem tu siedleś i lotem za szybkim
na mglach?
Klucze ptaków spłynęły w odległy kres nieba,
kiedy wczoraj świt wiotki rosami się oszklił
i torfy w mokrych łąkach błysnęły jak heban.

Ptaku samotny, zachodzący cieniem!
Plusk wody pchanej wiatrem o trzciny wysokie
rośnie jak chór, szumiący na powiewach mroku
— to w tobie szumi noc!

Krzykiem płoszysz dzikie sarny,
obok oczu w tumanie pęki ognia leca
i chyli się niebo, zasłane snami.

Gdyby nowym wiosny wrócić wylewem
jak falą górzystą na rwącej rzece,
wrócić —
serce o zabór krwawym niech bije lopotem,
niech wichur po błękitach blade wyspy sypie!

Za cicho oddech ziemny nizinie oddawać,
gdy wzdłuż milczących długim stąd odpływasz lotem.
Pociemku o cienie mgła się kaleczy
jak ja o wiosny samotne.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

* Por. Pion, nr. 26 (91).



Prof. S. Askenazy w r. 1906 wśród swoich uczniów (H. Mościcki, M. Loret, J. Iwaszkiewicz, J. Leszczyński, A. Skalkowski, A. Plutyński)

W *Księciu Józefie* (1905, wyd. IV-te 1922), sięgnąwszy do rozwiązania wielu zagadnień z dziejów Królestwa Warszawskiego, odmalował zarazem tak drogą narodowi postać Bohatera i Wodza, „w którym żyło męstwo, honor, sumienie, ludzkość i Nieśmiertelna Polska“; w *Rosji—Polsce, 1815 — 30* (wyd. 1907 r.) zanalizował w krótkich, lecz charakterystycznych zarysach dzieje konstytucyjnego Królestwa w związku z ówczesnym położeniem autokratycznej monarchii rosyjskiej; w *Łukasimskim* (wyd. 1908 r., wyd. 2-gie 1929 r.) dał historię spisków i konspiracji przedpowstaniowych, oraz wskrzesił zapomniane imię Walerjana Łukasimskiego, jako „żywą pochodnię, oświecającą ciemną głębię tej historycznej widowni, na której rozgrywały się dzieje Polski kongresowej“; w *Polsce a Europie i Na rozdrożu* (1909 i 1911) odsłonił zakulisowe działania dyplomatyczne w dobie Kongresu Wiedeńskiego; wreszcie w piśmie pod nazwą *Wojny światowej trytomowe dzieło Napoleon a Polska* (1918 r.), będącym szczytem działalności naukowej Askenazego, dał wspaniały obraz epoki i ludzi, zdumiewający bogactwem szczegółów, przenikliwą analizą i barwnością opowiadania.

Równoległe z żywą akcją ściśle naukową Askenazy rozwijał wydatną i owocną dzia-

łalność pedagogiczną. Zgrupowawszy koło siebie zastęp uczniów, uczynił ich swymi współpracownikami, zachęcił i natchnął do studjów nad zaniedbaną dotychczas nowożytną i najnowszą epoką dziejów polsko-europejskich. „Jest czas najwyższy — wzywał na Zjeździe historyków w 1900 r. — wziąć się nareszcie na całej linii, z całym wyężeniem, całym impetem, do pełnej i szczerzej roboty naukowej koło dziejów porobiorowych... Jest to potrzebą dla oświecenia własnego ogółu. W wyczerpujących, metodycznych, a nawskroś rzeczowych badaniach nad epoką, o której mowa, on powinien odnaleźć nareszcie złożony tam dla niego obfity zasób wieloocznych, tak drogo okupionych, a tem szacowniejszych doświadczeń... Potrzeba powtórnie dla oświecenia obcych. W nauce, jak gdzieindziej, trudno wymagać, dzisiejszymi zwłaszcza czasami, sprawiedliwości zaocznej. Dotychczas zaś przed forum historjografji powszechnej najżywniejsze sprawy nowoczesnych dziejów naszych wywoływane i sądzone są zaocznie“.

Gromkie wezwanie uczonego lwowskiego, poparte jego wyjętą pracą nad dziejami „dwóch stuleci“ nie pozostało bez echa. Pękły dotychczasowe uprzedzenia do studjów nad epoką porobiorczą, jako rzekomo niedojrzała dla rozważań ścisłych, omi-

janą ostrożnie, „niby czysta, jeszcze jakoby żarząca się polityka“. Zwyciężył trafny pogląd, że każda epoka, nawet najbliższa, może i powinna być badana, oczywiście w imię zasad rzetelnej prawdy i należytej metody naukowej.

Rezultatem niestrudzonych zabiegów Askenazego było poważne, kilkanaście tomów obejmujące, wydawnictwo *Monografij w zakresie dziejów nowożytnych*. Każda monografia była dziełem samodzielnie, dokonaniem wszakże pod względem wyboru tematu, zgromadzenia źródeł, sposobu ich użytkowania, ostatecznej redakcji tekstu i edycji dokumentów, wydobywanych z licznych archiwów zagranicznych i krajowych, pod bezpośrednim wydatnym kierunkiem profesora Askenazego. W dorobku naukowym autora *Łukasimskiego* prace jego uczniów stanowią pozycję poważną i trwałą.

Niepodobna wreszcie pominąć jednej jeszcze cechy, właściwej każdej pracy prof. Askenazego. Jest nią sprężenie treści z głębszą myślą polityczną; przeszłość w przedstawieniu Askenazego ukazuje się jako całość, związana tysiącami nićmi z żywym organizmem narodowym.

Pojmując zadanie historyka, jako obowiązek sprawiedliwego sędziego przeszłości, zarazem jednak żywo odczuwającego terażniejszość obywatela kraju, Askenazy zarówno w prelekcjach uniwersyteckich jak w pracach naukowych kładł zawsze nacisk na stronę dydaktyczną omawianych przez się faktów dziejowych; na rzeczy publiczne, powszechniejsze, o które chodziło mu najgłówniej i w których omawianiu wykazywał niejednokrotnie prawdziwą odwagę cywilną i szczerą, bezwzględna miłość prawdy. „Wykształcenie prawnicze — pisał o autorze *Przymierza polsko-pruskiego* prof. Tadeusz Korzon — rozwinęło w Askenazym zdolność do głębszego rozumienia spraw państwowych, niezakazane żadnym poziomem lub okolicznościowym interesem, poczucie etyczne nadaje sądom jego powagę prawości i czystego sumienia; wyrobienie wysokiego punktu widzenia wśród labiryntu zawiłań europejskich wyzwała go od stronniczych uprzedzeń, prostuje i umacnia jego logikę“.

Wyrazem jego przekonań i poczucia obywatelskiego był śmiały głos w obrocie polskich praw narodowych (*Observations politiques à propos de la lettre d'un Polonais à un ministre russe*, 1905), w sprawie odłączenia Chełmszczyzny (*Sprawa gubernji chełmskiej*, 1907; *Documents relatifs à la question du gouvernement de Chelm*, 1908), lub polskiego charakteru uniwersytetu warszawskiego (*Uniwersytet warszawski*, 1905), wreszcie surowa krytyka stosun-

ku Rosji i państw centralnych do Polski w okresie wojny światowej (*Uwagi*, 1916, 2-gie wyd. 1924). Aktualnym również sprawom służyła gruntowna rozprawa o *Gdańsku i Polsce* (1919, 2-gie wyd. 1923), przełożona na język francuski, niemiecki i angielski.

W duchu tradycyjnej polskiej racji stanu działał również prof. Askenazy na terenie Ligi Narodów, jako delegat Rzeczypospolitej w latach 1921 — 1923. Na czas jego delegacji przypada rozstrzygnięcie sprawy śląskiej, ustalenie rozgraniczenia Wileńszczyzny, wreszcie ostateczne uznanie naszych granic wschodnich.

Polską była jego dusza i Polsce wiernie służyła.

HENRYK MOSCICKI

KULTURA I WYCHOWANIE

KWARTALNIK

Wydawany przez:

ZARZĄD GŁÓWNY
TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI
SZKÓŁ ŚREDNICH I WYŻSZYCH

Redagowany przez:

Dr. BOGDANA SUCHODOLSKIEGO
Docenta Uniwersytetu Warszawskiego

dąży do ujawnienia wzajemnych zależności między prądami pedagogicznymi a poglądem na świat i dążeniami kulturalno-społecznymi doby współczesnej.

KULTURA I WYCHOWANIE

prowadzi stale następujące działy:

Zagadnienie poglądu na świat
Podstawy pedagogiki
Kultura współczesna
Historyczne podstawy współczesności
Organizacja kultury i oświaty
Źródła myśli rodzimej
Zagadnienie pracy

Prenumerata roczna wynosi 10 zł.

Szkoły otrzymują 20% zniżki.

Adres Administracji:

WARSZAWA, UL. BRACKA Nr. 18 m. 4.
Numery okazowe, na żądanie, bezpłatnie.

INNE, SŁOWICZE ŻYCIE

Statek odchodził w nocy, o godzinie dwunastej z minutami. Antoni Niedojda, właściciel fabryki lemonjady, gruby, cierpiący na zadyszkę jegomości, otrzymał z pewnego biura podróży mylną informację i przyjechał na przystań znacznie wcześniej niż należało, bo o godzinie za kwadrans jedenasta. Otyłość i dobrotliwe usposobienie nie pozwoliły mu rozgniewać się w tym stopniu, do jakiego sam siebie namawiał, więc podszedł do kasy i wysapał: „oburzające“ ale nie dodał już potem ani jednego śapaniecia. Sto dziesięć kilo żywej wagi przemieniały najmięjsze wzburzenie w pogodę i wyrozumiałość. Zresztą, był straszliwy upał, i owa czerwca okolicość szczególnie sprzyjała niezmaconej pogodzie ducha. Wszyscy bowiem, gdzie okiem sięgnąć, naprawo i nalewo, na każdym rogu ulicy — pili chłodną syczącą lemonjadę. Tylko we Włocławku kwas miejscowego wyrobu oraz toruńska woda „Czereśnia“ całkowicie panowały na rynku już od samego początku sezonu, i Antoni Niedojda, dopatrując się przyczyny niepowodzenia w przekupności swego przedstawiciela Hirszenfelda, postanowił pojechać tam osobiście i, jak się wyrażał, „zrobić ruch w interesie“. Ponieważ jazda koleją nadwyraz go męczyła — z trudem bowiem mieścił się na ławce — usłużył rady znajomych i wybrał się do Włocławka statkiem. Była to jego pierwsza podróż wodna. Odnosił się do niej podejrzliwie, zwłaszcza dlatego, że bilet w kabinie pierwszej klasy kosztował taniej, niż druga klasa kolei. Coprawda z innej strony kupieckie doświadczenie pouczało, że niekoniernie rzeczy drogie są lepsze od tanich, lecz Niedojda nie był pewny, czy podobną zasadę można było stosować do takich społeczno-państwowych towarów, jak bilety PKP lub Vistuli. „Ostatecznie, czem ja ryzykuję?“ pomyślał, i przypomniał sobie, że lekarz zalecił mu możliwie więcej ruchu. Więc oddał walizkę pokładowemu chłopcu i, zamiast wejść na statek, postanowił pojsć „przyjrzyć się, jak Wisła wygląda w nocy“ — miał przecież godzinę czasu.

Jak większość ludzi otyłych, posiadał niezwykle delikatność natury. Było to mniej więcej tak, jakgdyby w beczce z sa-

dłem przechowywano bławatek. Ale okoliczności kupieckiego życia nigdy nie pozwoliły temu bławatkowi rozkwitnąć w pełni. Sprawy handlowe pochłaniały większą część dnia, jeżeli wychodził pod wieczór, to tylko do kawiarni „Loursa“, gdzie przy pół czarnej w dalszym ciągu obracał się w kręgu spraw handlowych, po powrocie zaś do domu — rozmawiał z dorosłymi synami na temat płatności niewykupionych weksli. Z tem wszystkim było mu jednak całkiem dobrze, nie przypuszczał bowiem, nie rozumiał i nie chciał wierzyć, że istnieje jakieś inne życie. Jak się właśnie tego wieczoru wyjaśniło, nie przypuszczał nawet, że w Warszawie istnieją inne ulice i środowiska niż te, do których zwykł był uczęszczać. Mieszkał w stolicy od przeszło dwudziestu lat, i był pewny, że poza Marszałkowską, Nowym Światem oraz dzielnicą mokotowską, w której koncentrowały się jego interesy, nie można było znaleźć w mieście nic godnego uwagi. Zresztą podobnego uczucia doznają wszyscy stali mieszkańcy. Chodzą brukiem, niczem somnambulatory, nie spoztrzegają ani kamieni pod nogami, ani domów wokoło, zaś tłumy przechodniów wydają im się szarą bezbarwną masą. Antoni Niedojda był tego wieczoru bardzo zdziwiony, stwierdziwszy nagle nad Wisłą istnienie całkiem innej, przez nikogo nieodkrytej Warszawy.

Wzdłuż wody, tam i nazad, chodziły zakochane, ścisnąjące się pary, przez otwarte drzwi nadwiślańskich szynków wyrwały się smugi światła i dźwięki rozklekotanych skrzypiec, z pod mostu co chwila wylaniały się w pasiastych marynarskich koszulkach jakieś ciemne indywidua.

Wachlując twarz kapeluszem i ciężko sapiąc Antoni Niedojda, wgramolił się na most Kierbedzia, a kiedy zatrzymał się na chwilę, wsparty o poręcz, zbliżyła się do niego czarna barczysta postać i zapytała zachęcająco:

— Możebyśmy tak wypalili popierosa? he?

Leciutki chłód spływającej kropli potu przesunął się między łopatkami Antoniego Niedojdy.

— Proszę bardzo — wysapał zwolna fu-

kając w przerwach — niech...fu...pan...fu...pali! Mnie pan nie przeszkadza.

Barczysta postać przekłada śmiechem.

— A może panu dobrodziejowi zbyt dokuczka upał? — posłyszal Niedojda, i chociaż brzmienie głosu w dalszym ciągu było zachęcające, znowu chłodna kropla spłynęła mu między łopatkami. — Bo gdyby zasnadto dokuczal upał — rozlegał się kuszący szept — można byłoby napić się wody w Wiśle. Co? Jak się pan na to zapatruje?

Barczysta postać posunęła się tak gwałtownie, że kupiec instynktownie podniósł rękę na poziom twarzy. Przez sekundę wydało mu się, że widzi samego siebie leżącego wdół do ciemnej wody.

— Te, panie! — słyszał obok — może zamiast pić lemonjadę z Wisły, lepiej poczęstować bliźniego papierosem?

— Proszę...fu...pana...fu... — sapnął kupiec i dopiero wówczas domyślił się, o co chodzi. Wyciągnął paczkę tanich, ale napozór wytwornych papierosów. W świetle odległych latarń bibułka ustników lśniła złotem.

— Patrzno pan, jakie hrabiowskie złoto! — zawołała barczysta postać. — Jak żyję, nie palitem takich!

Przerazenie, które ogarnęło przed chwilą grubego kupca, przesączywszy się poprzez tłuszcz, przemieniło się w łagodne, ospałe współczucie. Uśmiechnął się w ciemnościach i chciał był z godnością odejść, zwłaszcza że w pobliżu między filarami zamajaczyła letnia czapka policjanta — ale wtem przypomniał sobie, że w tylnej kieszeni spodni ma schowane pięćset złotych. Wówczas ponownie obleciał go strach. Obleciał! oto naprawdę trafne określenie. Bo, jak wiadomo, kilkucentymetrowy pancerz tłuszczu, będąc doskonałym przewodnikiem uczuć radosnych i przyjemnych, bronił go zarazem przed każdą przykrością — więc strach nie mający dostępu do jego wnętrza latał wokoło niczem wielki, dokuczliwy komar. Antoni Niedojda instynktownie cofnął się wtył i plecami przywarł do poręczy. Bo coby było, pomyślał, gdyby po przyjeździe do Włocławka zamiast pugilaresu, znalazł w spodniach wyciętą czworokątną dziurę! W tej samej chwili ciemna barczysta postać z nonszalancką zyczliwością przysunęła się jeszcze bliżej. Na moście było pusto. Z ciężkim grzmiotem przemknął tramwaj, i An-

toni Niedojda z tęsknotą zauważył w oświetlonych oknach spokojne, nudzące się twarze pasażerów. Były to twarze codzienne, dobrze znane warszawskie twarze ludzi z Marszałkowskiej, z Nowego Świata, z dzielnic mokotowskiej. Natomiast tu, obok — w świetle żarzącego się papierosa widział twarz do niczego niepodobną: zarośnięte po same oczy policzki, płaski, jakby złamany u nasady nos, wstrętny kosmyk włosów wybijający się z pod czapki na czolo!... Br!... wzdrygnął się kupiec. Jednak bał się odejść. Przecież nieznamy mógł w ciemnościach chwycić go za kark, albo... Chłodne kropelki, jedna po drugiej ciurkiem ściekały po otyłym grzbiecie. W twarz zawiało tytoniowym dymem, i jednocześnie posłyszal zdanie wypowiedziane z tą samą drażniącą zachętą:

— Nie uważasz pan, że po dobrym papierosie smakowałby kieliszek sznapsa? — Zaraz potem rozległ się ostrzegawczy, krzykliwy szept:

— Te! Nie patrz pan tak na glinę!

W istocie. Postać policjanta w białej letniej czapce ponownie wyloniła się z za filaru, i ten cichy, uspakajający obraz radosnym dreszczem przedostał się wszystkim porami do tłustego kupcowego wnętrza. „Obserwuje nas!“ pomyślał Antoni Niedojda i odrazu odzyskał straconą pogodę ducha. Ze zgrabnością i elastycznością grubego człowieka, niczem nadęty balon oderwał się od nieznamy i potoczył się ku brzegowi. W pewnej chwili odwrócił się i z ulgą stwierdził, że był sam.

Dziwnie i niepokojąco wyglądała tego wieczoru Wisła. Poprzez most, od strony Pragi dolatywały wrzaski i babskie krzyki, widać było iluminowane budowle Luna-Parku, z cichym poświstem przecięły wodę dwie ścigające się motorówki. Na wybrzeżu, około przystani krzątali się tragarze, z wozów i ciężarowych samochodów ładowano na statki worki i paki, jakaś kobieta z rozwianym włosiem i w pstrokatej, jasnej chuście, zwisającej z ramion do ziemi, potarła kupca lokciem i zapytała niskim, męskim głosem:

— Chcesz, grubasku, się pobawić? — i rozwiane, jaśniejące w ciemnościach włosy, musnęły go po twarzy.

Antoni Niedojda otarł spocone czolo i zdziwił się:

CZY NOWY POWIEW ROMANTYZMU?

W ostatnich czasach coraz częściej zjawiają się na łamach dzienników opisy niebezpiecznych wypraw sportowych, lub ryzykownych ekspedycji do mało znanych krajów. Takie korespondencje podróżnicze jak np. pamiętniki kpt. Bohomolca lub Wł. Korabiewicza nasuwają nieodzowne pytania: co właściwie zmusza tych ludzi do zamiany spokojnego, komfortowego życia na dziwne, niepewne przygody; jaki to dyktator wewnętrzny przekreśla jakby najnowsze zdobycze techniki i każe zadawać się pierwotnymi sposobami lokomocji?

Czyż nie lepiej byłoby płynąć sobie nowoczesnym gigantem i z wysokości kilku-nastu metrów obserwować szafirową toń — kołysząc się lekko, na miękkim wygodnym leżaku? Wieczorami zaś — zagrać partyjkę bridge'a w wykwiśniętym towarzystwie lub zatańczyć *un brin de carioca*? A nie tuc się bezdomnie na wątlm kajaku, obawiając się lądowania na niegościnnych brzegach ottomańskich?

Czyż tak koniecznie musi współczesny człowiek doświadczać emocyj Kolumba, zdobywającego po raz pierwszy Atlantyk? Otóż, myślę, że — koniecznie. Że ten nakaz wewnętrzny, który wyrwa człowieka z pośród ściśle unormowanego życia i pcha go na bezdroże nieoczekiwanych przygód, jest poprostu instynktem samozachowawczym, nawołującym do ucieczki w samotność, do ucieczki od kultury, opanowującej całokształt życia wraz z jego codziennymi drobiazgam; ta miłość do przygód, ta tęsknota do czegoś irracjonalnego nareszcie, jest to poprostu potrzeba odnalezienia siebie w walce z dzikim żywiołem, takiej samej walce, jaką prowadził nasz przodek w swojej pierwotnej jaskini.

Jeżeli będziemy badali historię literatury z punktu widzenia pierwiastka romantycznego, zauważymy okresy wzmagania się i jakgdyby zaniku romantyzmu, okresy nieomal tak regularne jak przypływy i odpływy oceanu.

Romantyzm w dziedzinie intelektualnej jest nieomylną oznaką, że dotychczasowe dążenia już osiągnęły granicę rozwoju i że trzeba znaleźć inne. Stąd też literatura romantyczna jest wyrazicielką ducha ucieczki od rzeczywistości ku irracjonalności.

Natomiast realistyczna literatura tylko podsumowuje rzeczywistość na drodze mniej więcej dokładnej analizy, ale nie wskazuje nowych horyzontów.

Żyjemy w ostatnim piętnastolecu pod znakiem wszechwładnego opanowania literatury przez realizm. Tymczasem prąd ten jest o wiele bardziej „realistyczny” niż tamten balzacowski, z przed pół wieku. Bo jednakże Balzac, którego nazwisko samo stało się synonimem realizmu, daje literaturze *typy*, a więc ujmuje rzeczywistość w pewnych syntezach; współczesna literatura *typów* nie stwarza, a więc jest tylko fotomontażem rzeczywistości, zbiorem materiału na epokową powieść.

Olbrzymie powdzenie rodzaju literackiego, zwanego powieścią biograficzną, przypisujemy poniekąd ogólnej demokratyzacji społeczeństwa; każdy prawie czytelnik z przyjemnością skonstatuje, że i jego własny życiorys jest nie mniej ciekawy i tak samo nadający się na współczesną powieść, jak biografje Bogumiłów, Agnieszek lub Sabin.

A jednak... a jednak w literaturze o najstarszej tradycji, literaturze Francji odzywamy nowy powiew... jakby wylom w szarym murze twierdzy, przez który raptem wdiera się świeże morskie powietrze; oddychają niem romantyczni bohaterowie autora powieści marynistycznych Rogera Verceła, tegorocznego laureata nagrody Goncourtów.

A jeszcze większym wylomem w szarym beznadziejnym realizmie powszechnej literatury jest Jean Giono, mniej szczęśliwy kandydat do tejże nagrody. O tym wielkim, samoistnym, a tak mało u nas znanym talencie, chcę powiedzieć słów kilka.

Giono, syn drobnego mieszczaństwa z prowansalskiego miasteczka, debiutował w literaturze symbolicznymi poematami, jak np. *Accompagnés de la flûte*, *Présentation de Pan*, *Manosque des plateaux* i in.

Już na samym początku Giono ukazuje się jako poeta o wyraźnym zacięciu artystycznym, przypominającym Hamsana, Maeterlincka, a przede wszystkim — Mereżkowskiego z jego dionizyjską filozofją.

Krajobrazem, stanowiącym tło wszystkich utworów Giona, jest ukochna przez poetę Prowansalja, ale nie ta, rzeczywista, tylko jakgdyby symbol Prowansalji, przełamanie rzeczywistości w koncepcji poetyckiej. A więc — rzeka, góry, łąki, lasy, zamieszkałe przez demiurgów-pasterzy.

Ta demiurgiczność, ten prymitywizm człowieka pozostaje nadal cechą zasadniczą późniejszych utworów Giona (*Le Grand*

Troupeau, *Jean le Bleu*, *Le Chant du Monde*). Wszyscy jego bohaterowie są jakgdyby zgrubsza ciosane bloki, zrobione z jakiegos prastarego kamienia, w którym niedługo było, może, wydrążone pierwsze mieszkanie ludzkie. Wrażenie pierwotności potęguje się jeszcze przez motywy dawnych zwyczajów, ściśle wiążących i bratających człowieka z przyrodą (błogosławieństwo pastucha solą i trawą; sól jako symbol życia i śmierci i t. d.).

Tak jak u klasycznych romantyków, w utworach Giona przecucia i sny zwiastują zdarzenia konkretne; zjawiska przyrody charakteryzują nastrój gionowskiego człowieka; człowiek często jest przeciwstawiany wszechświatowi („Nic nie może tyle zażyć, co serce człowieka”).

Porównując tego pisarza z innymi, jak np. z Célinem, lub Rogerem Martinem du Gard (*La Vieille France*), musimy przyznać, że w naszym wypadku mamy do czynienia z dużym odskokiem od realizmu i motywów drobiazgowej powszedniości, ogólnie przyjętych w literaturze obecnej.

Oczywiście, Giona nie można nazwać romantykiem w utartem tego słowa znaczeniu. Zresztą, nigdy przecież reminiscencje prądów literackich nie bywają identyczne z poprzednimi: Poezja Musseta była pozornie zupełnie inna od poezji Ronsarda lub Villona, a i Verlaine mało przypomina Lamartine'a lub Byrona.

Jeżeli jednak spróbujemy zdefiniować cechy nowego romantyzmu w porównaniu z „ostatnimi” symbolistami, będziemy musieli przyznać, że różni się on jakgdyby przesunięciem nasilenia romantycznego w inną płaszczyznę, mianowicie: w dziedzinę zjawisk zewnętrznych, materialistycznych, stanowiących tylko akcesoria powieści psychologicznej.

Natomiast życie psychologiczne bohaterów jest ujęte w oświetleniu suchej rzeczywistości.

W dziedzinie zagadnień duszy, metafizyki autor pozostaje sumiennym badaczem, analizującym interesujące go zjawiska z całym realizmem, nawet nadrealizmem, wykluczającym wszelkie idealistyczne podejścia do sprawy. (A właśnie idealizm stanowił główną cechę romantyzmu).

Cechy nowego romantyzmu przesączają się powoli w naszą literaturę.

Powieść zeszlorocznego laureata Nagrody Młodych: *Zadłość i Medycyna* — jest pisana w duchu gionowskim; też same akcesoria romantyczne, jak przecucia, sny, elementy przyrody w przeżyciach ludzkich, a jednocześnie trzeźwa drobiazgowo anali-

za zjawisk psychologicznych, pewna naukowość w ich przedstawieniu.

Również u Gojawicyńskiego, a nawet u Dąbrowskiej, spotykamy zapowiedź nowej fali w literaturze: elementy irracjonalności w charakterystyce bohaterów.

Oczywiście, kilka jaskółek nie czyni wiosny.

Każdy, kto się interesuje studjami historycznymi, wie, że wszelkie podziały na okresy, bądź to w historii literatury, bądź sztuki, — są konwencjonalne.

W rzeczywistości żadna epoka historyczna, żadna szkoła artystyczna nie trwa od — dotąd; daty, ustalone przez uczonych, są do pewnego stopnia symbolami orientacyjnymi, ułatwiającymi badanie danego okresu w rozwoju ludzkości.

Przełom pomiędzy jednym a drugim kierunkiem artystycznym trwa zwykle tak długo, że obejmuje życie pokoleń, które często nie zdają sobie sprawy z tego, że znajdują się na pograniczu dwóch epok.

Nowy prąd literacki już przesącza się powoli do świadomości społeczeństwa, gdy poprzedni kierunek trwa jeszcze w pełni, a istnieje jeszcze długo po jego urzędowym zaliczeniu do historii.

Życie umysłowe ludzkości — to woda podskórna. Wytryska nagle na powierzchnię, ziemi i równie nieoczekiwanie przepada gdzieś w jej głębi, ale widoczna jest zaledwie cząstka całego podziemnego nurtu.

Nurt ten wydobywa się na powierzchnię jednocześnie we wszystkich dziedzinach życia intelektualnego.

A więc jednocześnie z reminiscencjami przybyszewszczyzny u Choromańskiego obserwujemy na wystawach sztuki ucieczkę od suprematyzmu, „wstecz” do poimprecyonistów; nowe projekty architektoniczne (kościół w Gdyni) zatracają surową prostotę linii i wracają do zaakrableni: nowe meble otrzymują z powrotem wygięcia i ozdóbki; jaskrawe kolory ustępują powoli miejscu bardziej wyszukany połączeniom, doniedawna zwanym „mdlemi”; nawet sylwetki kobiece nabierają tajemniczości i coraz częściej przypominają — o zgrozo! — secesyjne postaci!

A więc, obserwując uważnie ledwie dostrzegalne, narazie, symptomy pewnych zmian w kierunku zniemawidzonej „secesji”, możemy zabawić się w Pytję i bez większej omyłki, zdaje się, orzec, iż najwyższe nasilenie realizmu, nadrealizmu i t. d. mamy już poza sobą.

EUGENJA RUTKOWSKA

— W jaki sposób mamy się pobawić, proszę pani? Jesteśmy przecież dorośli ludzie!

Coraz mniej rozumiał wszystko, co się działo wokół. Walcząc z zadyszka, toczył się wzdłuż Wisły i na każdym kroku robił coraz to dziwniejsze odkrycia. Oto naprzykład z pod jakiejś barki wyskoczył bosy chłopak, mokre nogi chłopca polyskiwały wodą, chłopak zabiegał wokół niego, krzycząc:

— Patrz, dziadziu, masz ztyłu podarte portki!

— Gdzie?! — wysapał ochryple kupiec i chwycił się za tylną kieszeń. Ale pugilares był na miejscu, a spodnie były całe, tylko chłopak włożył do ust palec i zagwiżdżał: „Były sobie świnki trzy!”

A oto, koło latarni pojawił się człowiek w rozdartej koszuli, białka oczu latały mu straszliwie i błędnie, człowiek zachwiał się na nogach, wykrztusił: „ratunku!” i upadł. Ale kiedy kupiec pochylił się nad ciałem, leżący mężczyzna podniósł głowę i zapytał: — Czemu przeszkadzasz, u cholery! czy nie widzisz, że odpoczywam?

Dochodziła północ, na przystani rozległ się pierwszy gwizd statku, niebo w gorze było zdumiewające — i oto nagle Antoni Niedojda zrozumiał, że takiego zdumiewającego nieba nie zobaczy ani na Marszałkowskiej, ani na Nowym Świecie. Od Wisły sunął niejasny powiew wilgoci i wolności, niebo — wysokie, czarne, gwiaździste — rozsadzało pierś a zarazem budziło coś w rodzaju tkliwości i zawstydzenia. Stary grub kupiec Antoni Niedojda w tę dziwną godzinę pomyślał po raz pierwszy o swej przeszłości jak o najgorszej niewoli. Wydało mu się, że dopiero teraz odnalazł siebie, chociaż w istocie rzecz miała się wręcz odwrotnie, bo nie odnalazł, lecz — w środkowi kupiec zupełnie obcem — zatracił własne „ja” i kompleks niepotrzebnych spraw z nim związanych, i właśnie ta ztrata spowodowała błogie uczucie wolności i ulgi.

Zbity z tropu, zaniepokojony niezwykłym stanem swoich nerwów, westchnął i z zalem obejrzał się wokół. Trzeba było wracać. Jakaś baba z dużym koszem w ręku minęła go, wykrzykując: „lemonjada! lece-monja-da!” To zakrawało na drwiny. Oczywiście, należało śpieszyć na statek, żeby jutro w południe zrobić „porządek w interesie”, lecz doskonale sam przecież pamiętał o lemonjadzie i o swoich interesach. Los mógł mu tego nie przypominać na każ-

dym kroku. Więc włożył się bardzo niechętnie z powrotem, wołany sygnałami gwizdanki, i mętnie patrząc na usiany gwiazdami widnokrąg.

Na schodkach statku stał kapitan w białych spodniach, w ciemnej kurtce z galonami na rękawie; kapitan przyłożył rękę do białej czapki i uśmiechnięty zwrócił się do kupca:

— Zechce pan wejść na statek. Odpływamy za chwilę!

Kupiec chrząknął, aby ukryć zakłopotanie i, ocierając bez przerwy spoconą twarz, ostrożnie stąpił na kładkę. Okoliczności tej nocy stanowczo nie pozwalały mu zachować tej duchowej równowagi, której pragnął. Na pokładzie statku wszystko wydawało się do takiego stopnia fantastyczne, że nie mieściło się w żadnych ramach i nie mogło być mowy o pomysłnej psychicznej ekwilibryście. Stał na dziobie statku, oświetlony słabym światłem zielonej latarki wiszącej koło pasa ratunkowego — na dole plusnęła woda, słycał było jak łopatki koła walily w senną powierzchnię Wisły — kupiec zobaczył w szklanej huldce na górnym pokładzie człowieka, trzymającego w rękach ster i, dobrotniwie zdziwiony, zapytał:

— Czy pan tam siedzi przez całą noc?

Stanowczo od Wisły szedł niepokojący, wolnościowy powiew — kupiec to stwierdził z rosnącą tęsknotą. Miękki, usypiający był chód statku, światła miasta zwolna ginęły w oddali, hyla upalna noc — i wtem, gdzieś blisko — kupcowi wydało się, że wprost nad jego głową — rozległ się bezczelny, lkający śpiew słowika.

Co też wyrabiała ta bestja! Wspiął się w nocne niebo coraz głośniejszy, coraz wyżej, i tam — pijany, nawpółprytomny — helkotal, hulgotał tak, że można przysiąc, że to nie słowik, lecz najpiękniejsza kobieta płóćce sobie gardło złotą wodą! „Lemonjada!” pomyślał kupiec, i mimowoli klasnął dłońmi. W oczach stanęły iskry, potem płomień, potem nad głową falować zaczęło hoskie tremolo, potem zaplakał malusienki — cienko, zawadjacko — aż wkońcu nie wytrzymał i złotym korkociągiem spadł w dół, przebił pokład i ugrzązł w kotłowni. „Uch!” sapnął kupiec. Ale znowu, żeby go dobić, żeby go wykończyć — wyfrunął przez komin i oto rozpoczął wkońko, na nowo to samo, naigrawając się i pieszcząc, aż serce kupca boleśnie przekreśliło się i stanęło w zwałach topniejącego tłuszczu. — Uch, uch... — westchnął i otworzył oczy.

Na dziobie zapalono projektor: długa smuga światła przecięła noc wiślaną na dwie ruchome połowy i poczęła obmacywać fałdzistą powierzchnię wody, przesuwając się naprawo i nalewo. Jakby szukając małego sprawcy nocnego koncertu. Na pokładzie było ciemno. Tylko w pewnej chwili, z czworokątnej dziury w pobliżu kupca wysunęła się biała kapitańska czapka, wśląd za nią — niejasna plama twarzy, następnie była przerwa, gdyż granatowa kurtka kapitańska zlewała się z mrokiem, a po przerwie wylonily się na pokład białe spodnie i pantofle. Kapitan podszedł do kupca i przyjrzał mu się uważnie.

— Czy pan, broń Boże, nie chory? — zapytał uprzejmie i przyłożył rękę do czapki.

— Ja? — zawołał Antoni Niedojda. — Nie, dlaczego?...

Powolutku wracał do siebie. Śpiew słowika wydawał się obecnie stłumiony, natomiast wzmógł się huk maszyn w kotłowni. Instynktem samozachowawczym kupiec zrozumiał, że powinien natychmiast wszczać zwyczajną, codzienną rozmowę na temat najbardziej pospolity, na przykład: o handlu, o lemonjadzie, lub jeszcze lepiej o Marszałkowskiej, o Nowym Świecie, o dzielnicy mokotowskiej. Bo inaczej zachoruje na prawdę. Żywiołowy prąd kuszącej, nieznannej mu dotąd rzeczywistości, porwie go za sobą a potem rzuci bezbronne otyle cieleśko w odmęt najgorszego... najgorszego...

Najgorsze było to, że nie wiedział, co najgorszego mogło go wtedy spotkać! W każdym razie powiew wolności i ulga, których doznał na wyrzeżu — dobre były tylko na chwilę! Kiedy zaś na pokładzie uczucia te zaczęły kotłować się w nim coraz bardziej — stały się dlań męczące a nawet niebezpieczne. Na szczęście wówczas nadszedł kapitan. Kupiec szczerze ucieszył się z jego obecności. „Jest prawie takim samym człowiekiem, jak ja” pomyślał i potrakował go jak konduktora kolejowego. Albo komiwojażera. Bo i jeden i drugi woź z miasta do miasta towarzyszą, są urzędnikami lub przedstawicielami czyichś interesów. Wszystko to było proste, zrozumiałe, bliskie. Antoni Niedojda w ciemnościach domyślił się nawet, że kapitan ma zwyczajną, chłopską twarz i ucieszył się jeszcze bardziej. Z takim człowiekiem można było spokojnie porozmawiać i wreszcie odpocząć.

Kupiec zdjął kapelus, otarł czoło i tylinę, westchnął i, usiłując nie słyszeć śpiewu słowika, rozpoczął zwyczajną pogawędkę.

— Jadę, panie kapitanie, do Włocławka. Mam, widzi pan, fabrykę lemonjady. Naogół nie narzekam, gdyż pogoda ustaliła się ładna i duszna, więc ludziska piją, ale jakoś we Włocławku interes idzie słabo. Nie mogę tego zrozumieć, bo smak mej lemonjady jest bezkonkurencyjny. Nie mówię poto, by wychwalać własny wyrób, ale stwierdzam fakt. Zresztą, może się pan sam przekonać. Gdy przyjeździemy, podaruję panu pół tuzina butelek, hehe!... — i kupiec, rozzuchwalony powracającą pogodą ducha, dobrotniwie wziął kapitana za łokieć.

Kapitan delikatnie odsunął się i znowu przyłożył rękę do czapki.

— Szczerze panu dziękuję — rzekł — ale mam wstręt do napojów.

— Jakto? — instynktownie zaniepokoił się kupiec. Wydało mu się, że „zwyczajna pogawędka” zbacza z toru powszedniości. — Nawet w taki upał?

— Nawet w taki upał — odpowiedział kapitan, a już przyzwyczajony do ciemności kupiec rozróżnił zarysy szczupłej, wcale nie chłopskiej, ogolonej twarzy. — Nie mogę patrzeć na napoje od czasu jak zatrudniłem się ryżową wódką.

— Jaką wódką? — zachnął się kupiec.

— Ryżową. To trzy lata temu w Sajgonie.

— Gdzie?? — sapnął rozpaczliwie Niedojda. — Nie słyszałem o takim miasteczku. Czy to w Małopolsce?

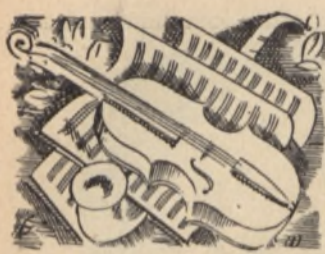
Mieszając się z tremolo słowiczem i turkotem maszyn, głos kapitana dotarł jego uszu, niczem straszliwa kpina:

— Nie, to w Kochinchinie. Żeglawałem przez siedem lat na morzu Południowo-Chińskim. W Sajgonie Chińczycy upili mnie ryżową wódką do nieprzytomności, bo chcieli obrabować... a potem okazało się, że dodali do wódki ludzkiego...

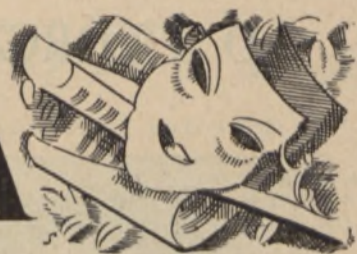
Końca zdania kupiec już nie słyszał, gdyż zatkął uszy rękami i, potykając się na każdym kroku, jakgdyby pokład usłany był kamieniami, pobiegł ku schodom. Kapitan spojrział za nim, nie nie rozumiejąc.

W oddali coraz bardziej nikięły światła nieznannej, nieodkrytej Warszawy, zaś w gorze śpiewał słowik, bezczelnie i tęskno.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI



SZTUKA I ANTENA



Z DOŚWIADCZEŃ AUTORÓW RADJOWYCH

I

Doświadczenia są jeszcze zbyt nikłe i ubogie, aby mogły stanowić syntezę i prowadzić do jakiejś zdobytej pozycji. Uważam je zaledwie za początek drogi. Z perspektywy wydają mi się pożyteczne i pouczające przedewszystkiem posunięcia fałszywe — mogą służyć jako sygnały ostrzegawcze.

Zacząłem od katastrofy. Katastrofa jest efektywnym startem. Zawiera dużo elementów dźwiękowych i niezbędne napięcie dramatyczne — dlatego jest startem łatwym. Katastrofa — stanowi zawsze moment sensacyjny i budzi specyficzne zainteresowanie bliźnich, niepozabawione przyjemnym dreszczyku — z tego powodu może mieć także katastroficzne skutki przedewszystkiem dla autora i z trudnych dróg sztuki sprowadzić go na bezdroża łatwego sukcesu. Niemniej byłam zachwycona, kiedy znalazłam w gazecie notatkę o bohaterkiej telefonistce z centrali Santa Cruz, która zginęła na stanowisku, ostrzegając mieszkańców swego miasta przed zbliżającym się cyklonem. Był to gotowy ekstrakt słuchowiska, ukraszony najbardziej efektywnymi i pociągającymi dla startującego autora scenariuszami elementami dźwiękowymi. Wszystko tam już było gotowe: noc, sygnały telefoniczne, zbliżająca się burza, rozpetane żywioły, rozpaczliwe głosy ludzkie i t. d. Temat był tego rodzaju, że nie potrzebna była specjalnego natężenia, aby wyeliminować z pola tak zwanej twórczości wszelkie pierwiastki wizualno-plastyczne. Noc i panika zatarła wszystko. Nie było twarzy, ani charakterów, były tylko głosy wśród nocy, zlewające się w symfonię dźwiękową, na której tle rozlegał się niestrudzony głos telefonistki. Jej bohaterstwo użyte było jako zagadnienie dźwiękowe i moment dynamiczny. Głosy oporne, opieszale, głosy śpiących i głupców stanowić miały kontrast i perypetję, zanim zginęły w ogólnym crescendo.

Operując tak potężnym materiałem dźwiękowym, nie miałam jeszcze pojęcia o możliwościach radja. Nie byłam wtedy jeszcze nigdy w studjo. Możliwości techniczne wydawały mi się nieograniczone, cyklon, przerażający się w potężną impresję muzyczną — dziecinna zabawka. Wydawało mi się głupstwem pogodzić wielką ciszę, która roztoczyła się przed telefonistką w momencie śmierci — z wyciem cyklonu, który w tej samej chwili zmiał z powierzchni ziemi drzewa i domy. Byłam mocno zdziwiona, kiedy w realizacji „moment wejścia w wielką ciszę” wogóle zniknął, zagłuszony lomotem walących się domów i rykiem wichury, nadawanej oczywiście z płyt. W pierwszej audycji (z Wilna) z potężnej impresji muzycznej, którą sobie wyimaginowałam — zostało bardzo niewiele. Natomiast strona aktorska przeszła moje oczekiwania. Rzeczą najsilniejszą i najtrwalszą okazał się głos ludzki, głos pełen wielkiej ekspresji, wznoszący się ku ostrzeżeniu bliźnich ponad dramat własny i ponad żywioły.

Przystępującego do pracy nad słuchowiskami nęci przedewszystkiem królestwo dźwięków, teren dziewiczy, niewyznaczony, pełen nieograniczonych możliwości. Wydawałoby się, że autor, wolny od wielu więzów i surowych nakazów, związanych z odpowiednim użytkowaniem przestrzeni, barwy, plastyki, mimiki i t. d., powinien tylko natężyć ucho i oddać właściwe znaczenie każdego dźwięku, że jest panem burzy, wichru i morza, głosów ludzkich i zwierzęcych, że wystarczy je tylko ugrupować i umieścić na odpowiednich pierwszo- czy drugoplanowych płaszczyznach, a powstanie nowy rodzaj sztuki.

W praktyce okazuje się, że te nieograniczone możliwości kończą się na kilku płytach, czy też na wielu płytach, z których, choćby się nimi jaknajsubtelniej manipulowało nie można wydobyć nic więcej poza naśladownictwem pewnych dźwięków, pozabawionych autonomicznego życia i wartości emocjonalnej. W praktyce, to co się uważało początkowo za esencję i materiał słuchowiska, schodzi na drugi plan, aby służyć jako tło i dekoracja. Oryginalne pomysły montażowe rozbijają się narazie o niemożliwości techniczne, a do tańszych dźwiękowych, proponowanych na pierwszym zeburaniu w sprawie słuchowisk — jest jeszcze daleko. Autor znalazłszy się na nowym terenie, spostrzega rychło, że wielkie zamierzenia dźwiękowe rozplywają się w powietrzu i że jako materiał słuchowiska pozosta-

je mu znowu jego odwieczne narzędzie — słowo.

Wydawałoby się, że dotarłszy szczęśliwie na mocy doświadczeń do takiego wniosku, może spokojnie wrócić do dawnych swoich chwytów i dawnej techniki pisarskiej, i nie wysilać się specjalnie, aby słuchowisko uczynić nową formą sztuki. Tymczasem tak nie jest. Autor, zubożony o cały potężny dział plastyki, mimo wszelkich wysiłków, nie potrafi zastąpić tego działu wzmocnionymi efektami dźwiękowymi. Powinien natomiast starać się o coś innego: o to, aby podnieść do wielkiej potęgi inne pierwiastki, a przedewszystkiem wewnętrzną dynamikę słowa i akcję, która powinna być ujęta w kompozycję niemal muzyczną. Specyficzność ta kompozycja jest warunkiem stworzenia dzieła sztuki, oczyszczonego z wszelkich sensorycznych dreszczyków i łatwych efektów. Kompozycja i dynamika musi być jeszcze bardziej zwarta, jeszcze bardziej natężona, niż w dziele scenicznym. Przeżycie, odarte z kształtów i barw, z gestów, światła i cieni, powinno samą swoją wewnętrzną siłą — nie tylko wciągać widza w orbitę działań dramatycznych, ale — co jest znacznie trudniejsze — utrzymać go do końca przy głośniku.

Muszę zaznaczyć, że mimo wszystko, nie mam wrażenia, aby teatr radjowy był naprawdę teatrem wyobraźni. Nie wydaje mi się, aby słuchacz wyobraził sobie to, co się dzieje w słuchowisku, to jest aby na poczekaniu, idąc z tokiem akcji zdążył zbudować sobie wyobrażeniowy świat widzialny, odtworzyć twarze, tło lokalne, mimikę, i t. d. Mam wrażenie, że się nawet o to nie stara. Teatr słuchowski jest według mnie, w całym tego słowa znaczeniu, teatrem niewidzialnym, i źle jest, jeżeli wymaga jakichś wyobrażeń wizualnych dopełnień, na które niewiele stać i które w wielu wypadkach byłyby tylko balastem. Jeżeli już konieczność trzeba użyć tu jakiejś definicji, to teatr radja jest raczej zblizone do reagowania na odbarwioną przeczyc, a jednak wywołującą wstrząsającą odczuwania muzykę. Kompozycja napięć kierunkowych, kontrastów, stopniowania dynamiki, crescendo finału, — powinny dążyć do tego, aby wywołać w słuchaczu odpowiadające natężeniu tych elementów nastroje emocjonalne, których dodatnią stroną jest to, że są oczyszczone z wszelkiej przypadkowości i wszelkich niedoborów i skaz, jakich nie może uniknąć świat widzialny. Tak pojęta forma nie będzie ozdoba i dekoracją, ale będzie wzmocnieniem i spotęgowaniem treści, wydobyciem jej najgłębszego sensu i znaczenia.

A treść? Zadaniem autora jest ni mniej ni więcej, tylko znalezienie wspólnej płaszczyzny poetyckiej, treściowej i formalnej dla oczekiwań i zagadnień setek tysięcy słuchaczy, z których potrzebami intelektualnymi nie można się nie liczyć. Ci słuchacze są różnego wieku, stanu, zawodu, przynależności społecznej i politycznej, wyznania i pochodzenia. Autor dramatyczny musi natrafić na tę wspólną płaszczyznę wszelkich zagadnień, jaką jest dola człowieka.

Dotarłszy do tych wniosków, rozstałam się z kataklizmami atmosferycznymi i przeniosłam Katastrofę do wnętrza. W słuchowisku *Dom w nocy* niema niebezpieczeństwa śmierci, jest niebezpieczeństwo chybionego życia. W *Zialach i Kamieniach* wprowadziłam motyw walki. Wydawało mi się, że to co stanowi od wieków istotę dramatu — walka, jest idealnym materiałem słuchowiskowym: formalnie jako dynamika i kontrast, a treściowo jako wieczny żywy i palący zagadnienie ścierania się dobra ze złem, światła z ciemnością, sumienia z dążeniem do szczęścia... Dwie odrębne indywidualności, dwa głosy, z których każdy operuje nieodpartymi napozór argumentami, ścieranie się dwu potęg, to jest sprawa, której grozić może spotęgować tylko wielkie skupienie nie w indywidualności. Czy w słuchowiskach tych zostały zrealizowane zamierzenia artystyczne? Czy stanowiły jaką zdobycz na terenie radja? *Ziola* i *Kamienie* otrzymały wprawdzie pierwszą nagrodę konkursową, ale „napięcia kierunkowe”, zarówno słuchaczy jak i krytyki, były bardzo różnorodne i najczęściej niezbyt pochlebne dla autora.

Ciężkie chwile przeżyłam również — walcząc o czas. Czas jest tyranem mikrofonu. Książka i scena daje autorowi możliwość wygadania się, przyznają mu pewność, dowolność granic i pewien teren, na którym może się swobodnie obracać. Natomiast mikrofon daje mu, być może, lekce maksymalnej zwięzłości, ale z natury rzeczy ogranicza zasięg treściowy. Jest wiele tematów, których niepodobniestwem jest w ciągu pół godziny rozwinąć i doprowadzić do finału. Jak np. w 30 minut poruszyć i wyczerpać artystycznie motyw zbrodni i kary, jak w trzydzieści minut zburzyć miasto, czy choćby rozkochać, połączyć i rozwieść dwoje ludzi?

Ostatecznym rezultatem moich doświadczeń radjowych jest świadomość, że zadanie jest wielkie, droga jest trudna, a to co się zrobiło, to jest jeszcze nie to. Zadanie jest jednak pasjonujące. Trudności są bodźcem. Słuchowiska mają niewątpliwie coraz szerszą, coraz więcej od nas oczekującą „widownię”. Wydaje się, że trzeba zrobić tylko jeszcze jeden krok naprzód... Nowy, dziewiczy teren sztuki czeka na zdobywców.

JANINA MORAWSKA

II

Opracowując audycję *Godzina myśli* (dana z Wilna w dniu 1 czerwca r. b.) miałem sposobność do zastanowienia się nad problemem łączenia słowa i muzyki w radjo. Niektóre rezultaty tych rozważań mogą, jak sądzę, przydać się tym, którzy zajmują się montowaniem słuchowisk, lub wywołać polemikę. I jedno i drugie byłoby nie bez pożytku dla studjów nad „słowem radjowym”.

Parokrotnie już w rozstrząsaniach na ten temat podkreślałem słusznie, że słowo docierające do naszej świadomości przez radjo, różni się od innych postaci żywego słowa brakiem akcesoriów plastycznych. Nie widzimy źródła, skąd słowo płynie — człowieka i jego gestów. Stąd — pewne zubożenie wrażeń odhorecy. Wszystkie słowa zjawiają się jakgdyby na jednej płaszczyźnie, pozbawione są perspektywy.

Oczywiście: intonacja, natężenie i ściszenie głosu, wreszcie stosowanie zbliżeń i oddaleń dają radjosłuchaczowi pewną rekompensatę tamtych braków. Ale cóż mu zastąpi widok uśmiechu, towarzyszącego recytowanemu okresowi, blysk spojżenia, podkreślającego inny okres, i dziesiątki, setki szczegółów plastycznych, które apercypujemy łącznie ze słowem, rozlegającym się ze sceny lub estrady. Te właśnie szczególności, akcesoria tworzą bogate tło i perspektywę żywego słowa, uwyppuklają przez kontrast lub podobieństwo z tłem zawartość myślową słów.

Słowo radjowe stara się wynagrodzić sobie te „ograniczenia”, niejako mankamenty, stosowaniem muzyki. Muzyka może zastąpić grę aktora (przenosząc, rzecz prosta, czucia w inny wymiar). Jak aktor, zanim wypowie jakąś ważną kwestję, jakieś doniosłe „tak” lub „nie”, przygotowuje widza dłuższą pauzą, wypełnioną zjawiskami plastycznymi, mimiką, ruchem postaci, tak muzyka powinna przygotować słuchacza radjowego do wagi słów, jakie za chwilę padną. Lub też odwrotnie: na słowa, które już zostały wypowiedziane, odpowiednio zareagować.

Ale jak to zrobić? Znany dotychczas dwa sposoby łączenia słowa z muzyką: melorecytację i ilustrację muzyczną do tekstów (formę pieśni nomeniam tu ze zrozumiałych względów). Melorecytacja nie cieszy się i słusznie, uznaniem wśród ukształconej publiczności. Ujemne wrażenia powstały stąd, że zazwyczaj oba czynniki zamiast pomagać i „pogłębiać nastrój”, raczej sobie przeszkadzają. Muzyka, zwłaszcza dobra muzyka, nie pozwala się łatwo zdegradować do roli „tła”. Ucho jest w rozterce, nie wie co ma śledzić: treść muzyczną, czy treść poetycką. Ponadto — melorecytacja estradowa, a z taką najczęściej dotąd się stykaliśmy, ma jeszcze ten minus, że obraz „akompanjatora” czy całej orkiestry, stwarzającej tło, najczęściej klóci się z obrazem i gestykulacją deklamatora.

W radjo — ponieważ ten ostatni szkopuł odpada — melorecytacja może mieć więcej sensu, o ile da się zlagodzić kolizję, wynikającą z synchronizacji „melodji” z tem, co się mówi.

Ilustracja muzyczna jest więc obecnie formą najbardziej rozsądną artystycznie i znajduje w praktyce radjowej szerokie zastosowanie. Radjo może się pochłubić szeregiem cennych osiągnięć w tej dziedzinie. Współpraca współczesnego pisarza z kom-

pozytorem, dając rzeczy nowe, specjalnie pisane na mikrofon, przynosić będzie z biegiem czasu coraz doskonalsze wyniki, o ile kompozytor potrafi zachować umiar między łatwą onomatopoią (instrumentalne odzwierciedlenie wszelkich „gromów”, „wichrów” i „deszczów” tekstu), a pokusą samodzielnego tworzenia.

Jednak gdy chodzi o ilustrację muzyczną do dzieł epok minionych, zagadnienie się komplikuje. Pomijając mogące powstać często dysproporcje talentów między ilustratorem a poetą, zwrócić należy uwagę na sprawę różnicy stylów. Można z pewną dozą talentu świetnie imitować style przeszłości, ale tworzyć w „ładnym” stylu rzetelny artysta nie potrafi. Stworzenie przeto pełnowartościowej ilustracji muzycznej do tekstów np. Mickiewicza wydaje mi się — laikowi w dziedzinie muzyki — kwestją dość trudną do rozwiązania.

Gdzież więc szukać tej ilustracji? Odpowiedź prosta: wśród kompozytorów tamtych czasów. Tak uczynił Leon Schiller, inscenizując „Dziady”. Tak rozumując, wpadłem na pomysł połączenia poezji Słowackiego z muzyką Chopina. To prawda: nie zawsze uda się znaleźć twórców tak sobie pokrewnych wiekiem i duchem (choć podobno nie sympatyzujących ze sobą za życia) jak ci dwaj. Paralele nastrojów i myśli, różnemi wyrażonych środkami, są w twórczości obu genjuszów liczne i zastanawiające. Miał je uzmysłowić słuchaczom mikrofon.

Ten cel mając na widoku, unikałem montażu melodeklamacyjnego, to jest nakładania słów na muzykę (z wyjątkiem paru drobnych fragmentów). Tekst *Godziny myśli*, podzielony na okresy, oddane różnym głosem do recytowania, przepieciony został okresami muzycznymi. Nie można było jednak dawać zbyt długich interwałów między okresami tekstu, aby słuchacz nie zgubił wątku. Stąd wynikała przykra konieczność przykrojenia niektórych utworów Chopina, wykonania tylko fragmentów.

To jednak zredukowano do minimum. Nic wątku muzycznego stanowiły trzy preludja, odegrane w całości w miejscach odpowiednich, i cały nokturn¹ — jeno rozczłonowany. Traska o zachowanie proporcji, o równoległość, ale nie jednocześnie wątków muzycznego i poetyckiego, dominowała w tej robocie.

Wynik tego eksperymentu — o ile wolno wnioskować z niektórych głosów słuchaczy i krytyki prasowej, był dodatni. Sądzę, że powinny być podjęte dalsze próby w tym kierunku, przedewszystkiem przy radjofonizowaniu poezji lirycznej z jej bezpośredniością wyrazu. Ta bowiem bezpośredniość jest też przyrodzoną właściwością muzyki — i na tym wspólnym pomoście możnaby z korzyścią dla kultury słuchacza budować audycje, w których słowo i muzyka posiadają znaczenie równorzędne.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI

¹ Preludja: Op. 28 nr. 2, nr. 18 i nr. 6, nokturn op. 15 nr. 1.

NOWY TOMIK „BIBLIOTEKI RADJOWEJ“

ukazał się świeżo w druku p. t.

TEATR W Y O B R A Ź N I

Uwagi o słuchowisku i literackim scenariuszu radjowym

pióra

WITOLDA HULEWICZA

z dodatkiem 14 głosów dyskusyjnych następujących autorów:

A. Bohdziewicz, K. Fydziatowicz, S. Felszyński, W. J. E. Korabiewski, T. Makowiecki, St. Miłuszewski, J. Ostrowski, F. Pacliszak, J. Petry, L. Pomirowski, W. Sieroszewski, J. E. Skiński, M. Wańkiewicz, Wł. Zawistowski.

Str. 88. Cena 1 zł. 50 gr.

Do nabycia w księgarniach i w Biurze Studjów Polskiego Radja: Warszawa, Zienna 24.

PROSIMY SZ. PRENUMERATORÓW O ODNOWIENIE PRENUMERATY NA KWARTAŁ TRZECI.

O TWÓRCZOŚCI MALARSKIEJ LEOPOLDA GOTTLIEBA

(Z POWODU WYSTAWY W I. P. S.)



Leopold Gottlieb

Ilećko myślę o twórczości malarskiej nieodżałowanego Leopolda Gottlieba, staje mi w oczach obraz znakomitego jego brata Maurycego *Shylock* i *Jessika*. Wyobraża on dla mnie wszystkie pasje wschodnie, połączone z przedziwną tklivością, skłaniającą się miłośniczo ku temu, co ukochane i piękne. Ten sam gest widzę najwyraźniej w stosunku Leopolda Gottlieba do sztuki.

W tem zestawieniu jest może coś więcej niż wspólnota nazwiska obu braci, bo tak się właśnie dziwnie złożyło, że kiedy w roku 1879 zmarł 23-letni zaledwie Mauryce, tegoż roku przyszedł na świat w Drohobyczu Leopold, jakgdyby poto, aby kontynuować znakomicie rozpoczętą drogę zmarłego brata poprzez krainę sztuki.

Leopold studjuje najpierw od roku 1897 w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem Jacka Malczewskiego, a kończąc ją chlubnie, zdobywa złoty medal oraz stypendjum na wyjazd zagranicę. Wyjeżdża więc do Monachjum, a w r. 1901 do Paryża. Dłuższy czas przebywa na samodzielnym studiach w Hiszpanji (w Toledo i w Pirenejach; w r. 1910 wystawia w Barcelonie) i we Włoszech. Mając lat trzydzieści, otrzymuje interesującą propozycję objęcia katedry malarstwa w szkole sztuk pięknych w Jeruzolimie, gdzie bawi przez niecały rok (razem z prof. Dunikowskim).

Wystawia w Berlinie („Grupa pięciu“ przeciw „Sztuce“), kilkakrotnie w wiedeńskiej „Secesji“, skąd muzeum frankfurckie zakupiło jego dzieło, a po wystawie w Berlinie Teodor Deibler napisał o nim monografię. Wystawia też w Londynie i oczywiście w Paryżu („salon jesienny“ i „Salon niezależnych“). Tu zakupiono jego obraz do jednego z muzeów prowincjonalnych a drugi do muzeum luksemburskiego (*Jeu de Pomme*). Ecole d'Aéronautique zamówiła u niego portret ministra Painlevégo. Znany krytyk francuski André Salmon napisał o nim entuzjastyczną francuską monografię. Portret córki zakupiło muzeum w Cincinnati (Ohio — St. Zjednoczone), a wiedeńskie muzeum grafiki, słynna „Albertina“, kilka rysunków z wystawy wiedeńskiej. Pozatem dzieła jego znajdują się rozproszone po prywatnych kolekcjach amerykańskich, francuskich i polskich.

W roku 1928 na zaproszenie Ligi Narodów, pod której protektoratem urządzono wystawę reprezentacyjną krajów wchodzących w skład Ligi Narodów, Gottlieb bierze w niej udział wraz ze Skoczylasem i Terlikowskim.

Wystawiał też i w kraju, gdzie głównie „wystawy legionowe“ w czasie wojny (po szeregu tych wystaw w Zurychu, Bernie, Bazylei i Wiedniu) — w Krakowie, Warszawie, Lublinie i Lwowie, dały poznać jego ogromny dorobek artystyczny, który z mrówczą pracowitością zebrał w czasie swej służby w I-ej Brygadzie Legionów Józefa Piłsudskiego. Większość tego dorobku, bo dwieście pięćdziesiąt kartonów, posiada Muzeum Narodowe w Krakowie — królewski dar artysty.

Ostatnia wystawa paryska Leopolda Gottlieba, urządzona w styczniu 1934 r. w galerji Zakowej, przedstawiała właśnie ostatni okres jego twórczości — jakże różny i niespodziewanie nowy w stosunku do tak bujnych okresów poprzednich! Patrząc na te skupione, grające symfonią bieli kompozycje, miało się wrażenie, że artysta oddala się od świata, że go dematerializuje, że zdobywa zeń swym melancholijnym wzrokiem to co najwłaściwsze i najczulej i najszczerzej przezeń wyczarowane, ale nikomu z nas nie przyszło na myśl, że artysta w tak krótkim czasie sam zniknie z tej ziemi, że ta jego droga w nieskończoność idealną tak nagle zostanie przez śmierć brutalnie przerywana... W kwietniu, wśród przygotowań do

wielkiej wystawy warszawskiej — odszedł nagle z grona ubóstwiającej go żony i córek i kochających go przyjaciół Polaków i Francuzów.

Rzewnem świadectwem tego jak go ceniono i kochano, był jego pogrzeb i słowa: (ambasadora R. P. Alfreda Chlapowskiego, attaché wojskowego płk. Jerzego Bleszyńskiego, dra Hufnagla i pisarza francuskiego Henri Hertza) pełne uwielbienia dlań jako dla przedobrego człowieka, wzorowego obywatela-żołnierza i znakomitego artysty.

Znałem Leopolda Gottlieba i przyjaźniłem się z nim od lat dwudziestu. Widywałem go na froncie legionowym, na odciwkach różnych pułków, kiedy przychodził ze swą nieodstępną teką pod pachą, zawsze pełen powagi przetykanej najniespodziewaniej niewyczerpaną ilością kawałów i kalemburów, które wartoby było spisać w jakiejś „księdze humoru legionowego“. Lubilem podziwiać jego przenikliwy wzrok, którym analizował swego modela, wybierając z jego maski czy postaci to, co było w nim najbardziej typowego, a przecież zarazem najbardziej typowego. Ten okres twórczości Leopolda Gottlieba był dla mnie rewelacją: otwarciem oczu na wiele tajników nie tylko jego sztuki, ale sztuki wogóle. To też spotkał się z nim w kilka lat po wojnie w Paryżu, z tem większem zaciekawieniem co jakiś czas odwiedzałem, przez ostatnie dwanaście lat, jego paryską pracownię i coraz bardziej się zdumiewałem... Coraz bardziej poprzez te wizyty i dyskusje z artystą bogaciłem i rozszerzałem własne spojrzenia na obraz czy rysunek, jako na rezultat przeżywania i oglądania życia pod kątami widzenia własnej, artystycznej tego życia plastycznej przebudowy.

Ten dar przebudowywania świata widzianego powodował jednak to, że Gottlieb, człowiek czujący, nigdy nie teoretyzujący, zmieniał kilkakrotnie w swem życiu formy i sposoby swego widzenia. Po okresie „akademickim“, który mu odrazu zyskał powszechne uznanie, przechodził okres własnego szukania, ową wędrowną *Meisterschule* po obcych a tak ciekawych dla malarza krajach. Jakżeż mocny i swoisty jest on w okresie pracy w Legionach! Zdawałoby się artysta tak skończony, że niepodobna mu z tej drogi zejść, by nie przestać być sobą. A jednak powojenny okres jego paryskiej twórczości, w którym Gottlieb jako malarz w stosunku do dawnego „Lipka“ z Legionów,

jest kimś tak zupełnie nowym, że w nim starego „malarza I-ej Brygady“ wprost niepodobna się dopatrzeć, — okres ten również nie jest jednolity, owszem przedstawia szereg niezmiernie ciekawych i znowu odmiennych i nowych etapów.

Jakże daleko odszedł on od tych junackich głów legionowych, gdzie cudownie pewne linje brwi, policzków i szcęk tych typów wybiegały poza nieomylną rękę Wyspiańskich, Rembowski i Mehofferów. Posiadając tę samą śmiałość konstrukcji linearnej, jego portrety paryskie powojenne wzbogaciły się o całe głębie wnikliwości psychologicznej, wykazując przy tem skalę o niebywalej rozpiętości: wystarczy na dowód porównać portret Diega de Rivera z portretem „dziennikarza A.“ (surowością przypominający El Greca), portret pułkownika Bleszyńskiego z portretem pani Bleszyńskiej, albo wogóle portrety męskie Gottlieba z portretami malowanymi przezeń pań.

Ale Gottliebowi portret nie wystarczał. Zataił się on z dziwnym mistycyzmem w wizje ludzi pracy, tworząc całą galerję płócien, rysunków i gwaszów, w których wchodził na nowe drogi malarstwa tematowego. Słusznie zauważyła też krytyka francuska u niego „powrót do tematu“. Lecz temat ma dlań walor nie literacki, ale raczej charakter kompozycji muzycznej, w której rzeczywistość nie leży po stronie realistycznej, lecz po stronie wizji. Stąd to w każdej kompozycji tematowej, przypominającej galerję „ludzi pracy“ Degasa, dawał Gottlieb niejako symfonię gestów i kolorów o gamach przeważnie harmonizowanych na podłożu jakiejś nieuchwytniej, nieziemskiej bieli. Jego skala białoszarych, białozielonawych, białoczerwonych kompozycji zachwyca świeżością i jakąś prawdą mistycznego rozmodlenia.

Z kompozycji tych nawskroś „beziinteresownych“ bije niezamącony spokój. Postacie owe białe, zajęte jakąś najprostszą pracą domową, zdają się być w rzeczywistości zasłuchane w coś, czego nikt biednymi ludźkami zmysłami usłyszeć nie może.

I jeszcze jedno: epoka, czas — tu nie istnieje. Ci wszyscy rybacy, piekarze, kwieciarki, kobiety, przebierające ryby, czy przyrządzające jakieś potrawy czy napoje, są to ludzie wieczni: nie wczorajsi ani dzisiejsi. Zdają się nie pracować, ale spełniać w skupieniu i radości jakieś odwieczne obrzędy. A owi często zgromadzeni dokoła



L. GOTTLIEB

Minister Sokal

stołu ubodzy biesiadnicy przypominają do złudzenia surowy wieczerzik ewangeliczny. Jak pięknie powiedział jeden z przyjaciół artysty, znany publicysta i krytyk Jan Topass: *n'est-ce pas là une manière de Cène où l'eau jadis se changea en vin, l'humaine misère en splendeur miraculeuse et où le pain et l'amour se multiplièrent à en nourrir les siècles?* (*L'Art et les Artistes*, Juin 1933).

I istotnie, pulsująca w tych kompozycjach dobroć serca artysty owiewa nas dziwną zadumą, zapatrzeniem w księgę życia, niczem w karty księgi świętej. A dzieje się to przecież — powtarzam — nie wskutek „literackości“ tych fresków-obrazów, bo tej w nich niema własnie ani trochę, ale dzięki mistrzostwu bezpośredniej mowy artysty, mowy jemu najwłaściwszej, jaką jest gest i barwa. W tych dwu elementach w obrazie zasadniczych: — linja-kompozycja i barwa-światło — Gottlieb był mistrzem nie tylko niezrównanym, ale, w miarę posuwania się naprzód, coraz to subtelniejszym i zawsze nieoczekiwanym nowym.

Jakąż to skala ogromna dzieli pierwszy jego obraz *Pogrzeb* od ostatniego, który widziałem jeszcze świeży, w dzień śmierci artysty przezeń podpisany, stojący na sztalugach naprzeciw zastygających jego zwłok, przedstawiający *Taniec*. (Dziwnie to przecież wymowny szczegół: artysta w życiu swem twórczem szedł niejako od realnego smutku do abstrakcyjnej radości...)

Leopold Gottlieb był też jednym z najwybitniejszych polskich malarzy paryskich. Każda jego wystawa wywoływała zgodny chór zachwytu krytyki francuskiej, szwajcarskiej, niemieckiej, angielskiej czy polskiej. Brak miejsca i niemożność posługiwania się ściśle technicznymi kryteriami nie pozwalała nam tu na przeprowadzenie szeregu cianących się interesujących porównań i analiz, które kiedyś niewątpliwie historyk sztuki przeprowadzi, aby wykazać, jaki jest stosunek twórczości Leopolda Gottlieba do mistrzów współczesnego malarstwa polskiego i francuskiego. A to nie dla wykazywania „zależności“, ale dla uczających konkluzji.

Okaże się z nich z wszelką pewnością to, co dziś tu możemy stwierdzić na podstawie wieloletnich medytacji nad sztuką Gottlieba, że był on nawskroś oryginalnym malarzem-wizjonerem, czy to skupionym harmonji pracy, czy to duchowego wyrazu portretowanej przezeń osoby. Ze śmiało postawiony być może nie tylko na czoło współczesnego malarstwa polskiego, ale w pierwsze szeregi mistrzów malarstwa współczesnego wogóle. A rzucone tu mimichodem — choć nie przypadkiem — zestawienie Leopolda Gottlieba z Degasem nie tylko go nie pomniejszy, ale kto wie, czy nie będzie świadectwem przemawiającem na jego korzyść.

Wychodząc z wernisazu ostatniej wystawy paryskiej Leopolda Gottlieba, cieszyliśmy się, że miłośnicy tej wielkiej sztuki w Polsce będą mieli niebawem sposobność podziwiać ją na wystawie zbiorowej dzieł jego w Warszawie, którą dziś oglądamy w I. P. S. Niestety! — artysta jej nie doczekał, jak nie doczekał ukazania się *Albumu Legionów Polskich*, którego wydanie pisaćemu te słowa powierzył. Tuż przed śmiercią wypytywał się z wielkim zaciekawieniem o możliwości wydawnicze i ze łzami w oczach i drżącym od wzruszenia głosem odczytywał teksty, które miały być akompanjamentem do jego plansz w tym albumie.

Leopold Gottlieb życiem swem i swą twórczością służył Ojczyźnie i Sztuce. Cała jego nieprzebrana w swem bogactwie artystycznym spuścizna jest tego wspaniałym i wymownym dowodem. Twórczość zaś jego z legionowego okresu jest jednym z najcenniejszych i wiecznie żywych dokumentów epopei Legionów.



L. GOTTLIEB

Kobiety we młynie (1933)

JÓZEF ANDRZEJ TESLAR

T E A T R

TEATR AKTORA: *Chory z urojenia*, komedia w 3-eh aktach MOLIÈRE'A, przekład Boya, reżyserja St. Perzanowskiej, muzyka Andy Kitchman, dekoracje J. Galewskiego.

Jaracza wtulonego w tradycyjny fotel na środku sceny z miejscem przyjęto oklaskami. Była to pochwała dla jego dzisiejszej pasji charakterystycznej—wysokiej sztuki tworzenia dobitnych i kolorowych postaci teatru, umiejętności przeistaczania się do niepoznaki. Rzeczywiście trudno było dopatrzeć się rysów Jaracza w nalanej i pokrytej zmarszczkami twarzy Argana. Zmieniona została tak bardzo, że w pierwszej chwili rozdziła się obawa, czy przypadkiem nie powtórzy się to co było z maską Napoleona w *Madame sans Gêne*. Efektowna ale nadmiernie charakterystyczna uniemożliwiła tam twarz i tak skępowała szyję, że wyglądało, jakby cesarz cierpiał bardzo na czyraki. Nie to nie ujmowało mu chwaly, ale ujmowało wyrazu—głowa świetna do obnoszenia po scenie, kiepsko służyła grze. Napoleon zresztą mógł sobie na taką „marmurowość” pozwolić, Argan nie. To też z lekkim niepokojem czekało się na pierwsze przejawy gry mimicznej. Te rozproszyły jednak odrazu przedczesne obawy. Twarz Jaracza, zeszarała raptem o lat dwadzieścia, nie straciła nic na ruchliwości. Zmarszczki i fałdy nie utrudniły jej ekspresji uczuć choćby bardzo subtelnych—owsem, spotęgowały ją znakomicie. Trzeba było popatrzeć jak wyglądały się przy odczytywaniu przez Argana rachunku, słonego—trudno przeczyć, aby docenił ich znaczenie w objawianiu charakteru. Scena pierwsza zdradziła sporo z jego sekretów. To nie było pokazywane zwykle przekomarzenie się na niewiedzanego ze zdziwczym aptekarzem. To była wymyślona uczta jakiegoś smakosza choroby o bardzo już wydelikacjonem podniebieniu. Niewiele ze starych łakomeczuchów umie rozpanietywać w biedzie smaki przepuszczonych przez gardło potraw z taką lubością, jak jaraczowski Argan swoje klisterki, lewatywy, ziółka—całą tę zalutującą mdłym zapachem kuchnię pana Wonnego. Po tej kontemplacji dwumiesięcznych przecyzszeń wiadomo już było, że ma się tu do czynienia z jednym z najgroźniejszych megalomanów—z megalomanem brzucha.

Tę megalomanię Jaracz pokazał z mistrzostwem komiecznym, godnym wysokich odznaczeń przy jubileuszu. Mowa tu o jego wychodzeniach w celu raczej dyskretnym: ileż to było powagi w stwierdzeniu pomysłnej konjunktury, jaki nastąpił kroku, co za przejęcie—zdawałoby się, że za chwilę dokonano aktu o niezmiernie doniosłości. I o powrotach: rozjaśniony, szeszyłowy, rzęski uśmiechał się ze skromnością człowieka, który nie lubi się chwalić, choć z trudem powstrzymywał się od powtarzania wszystkim: zwycięstwo! Co za szkoda, że nie zademonstrował także kłeski!

Demonstrował wzamian coraz to nowe, wspaniale podpatrzone rysy swego Argana, w którym mało kto domyśliłby się takiego bogactwa charakteru—uchodził przecież, nieborak, przez czas niezmiernie długi za „typ” hofyza klasycyzmu, pozabawionego dóbr indywidualnych, bo te dla teatru zdobyli dopiero romantycy. W pamięci zostaje zwłaszcza mina z końcowej promocji doktorskiej, jednocząca w sposób tak charakterystyczny dla gry Jaracza pokorę z przebiegłością. Tak zapewne wyglądałby Swęjk w chwili, której nie dane mu było dożyć, nominacji na generała. Przez taką kreację Jaracz zerwał z tradycyjnym ujmowaniem postaci Argana. Zwykle szukano efektu w farsowym zaskakiwaniu publiczności widokiem gęby rumianej i tryskającej zdrowiem, gdy wylania się nagle ogołocona swawolną ręką subretki z czapeczki, chustek i kompresów. Jaracz wydobyl komizm—pierwszorzędnym!—z rozsmakowania w chorobie. Istotnej czy urojonej, to już rzecz obojętna. Dość, że swoją koncepcję oparł na jakiejś rzeczywistości psychicznej, nie na farsowym widzimisię. To zaś wymagało zapewne innej inscenizacji niż taka, która właśnie sili się na styl starej farsy. Dość zresztą bezskutecznie, skoro nie miała narzucić swej woli całemu zespołowi. Na dobry ład poddał się jej tylko, ze świetnym rezultatem, Daniłowicz w roli Tomasza Biegunka. Łuszczewski jako papa Biegunka wolał dla spokoju przyjąć grę realistyczną. Paniom znowu bardziej przypadł do smaku gładki konwenans komedjowy. Prócz Zimińskiej, której odpowiadał bardziej styl operetki, tę mający drobną wadę, że jest bardzo złym stylem.

TEATR LETNI: *Ty to ja*, farsa muzyczna w 2-eh częściach (9-ciu obrazach) HENRYKA DUVERNOIS w opracowaniu Juliana Tuwima, muzyka M. Simonsa, inscenizacja i reżyserja Janusza Warneckiego, dekoracje i kostjomy Stanisława Jarockiego.

Gdyby nazwy posiadały magiczne własności przeobrażania sztuk, byłaby rzeczywistość bardzo wskazana zmiana „operetki” oryginału na „farsę muzyczną”. Operetka ma dzisiaj ogromnie zaszarzaną opinię. Najbardziej pobudliwy widz zaciśka sakiewki przed pannami w szamerowanych mundurach i cielistych trykotach. Nikt już nie wpada w zachwyt, że tak zgrabnie podnoszą rzedem nogi przy bylejakiej okazji: raz gdy złotowłosa milionerka zakocha się w kelnerze, drugi gdy zdobędzie go na włoskiej hrabianie, a trzeci i dziesiąty gdy okaże się, że kelner jest w gruncie rzeczy księciem Monaco oraz pułkownikiem austriackich huzarów śmierci. Operetki takie obrzydły dostatecznie. Rodzą się przecież ciggle—z przyzwyczajenia. To też nazwy obdarzone darem czarodziejskich przemian spadłyby jak z nieba przy tej konjunkturze. Mówiłoby się tylko: „hokuspokus, farsa muzyczna” i czar słowa robiłby swoje. Młde figurki eleganckich młodzieńców i urodziwych panien nabierałyby farsowej dosadności i kolorów. Pudrowane nosy urastałyby im w trzy piędzi. Ulizane czuprynki jeżyłyby się w czuby i fioki. Gładkie kształty nabrzmiewałyby brzuchami. Przytem, nie byłoby czasu na popisy wątpliwej urody i jeszcze wątpliwej elegancji. W far-

sie postaci zostałyby rzucone na rozpedzone pasy maszynjerji wydarzeń. Stłoczone w jednym miejscu, rozdzielone i ściągające się w innym, śmieściłyby niespodziankami sytuacji koniecznych, gdyby nawet nie mogły się zdobyć na śmieszenie niespodziankami dowcipu. Farsa, nawet muzyczna, to byłoby już coś. Zwłaszcza—gdyby jej słowem oświecające prawdy o ich nieprzezwany talentach objawiał Tuwim.

Niestety—magiczne własności nazw istnieją tylko w wyobraźni panów zajmujących się z profesji nadawaniem powabu afiszom. Mimo przechylenia więc *Ty to ja* zostało tem czem było: niedolęzną i pustą operetką, w której śpiewa się to co powiedziane byłoby zbyt głupie, a wytańcowuje to co powiedziane byłoby zbyt nieprzystwoite. Poeta może przydać wdzięku i lotności nawet głupstwom. Muszą to być jednak głupstwa w miarę jeszcze młode i elastyczne, aby dały się nagąć do wynagania jego fantazji. Głupstw, jak tutaj, starych i niemrawych nie zdoła uskrzydlić nawet Tuwim—cudem uskrzydłonych nie zmusi do latania. Więc choć czasem poderwie się jakiś dowcip, lata jak kura: jest wiele gdakania i bicia skrzydłami przy wznoszeniu się nad płot, złożony z dwóch źerdzi.

Dodatnią, nawet znakomitą, pozycją przedstawiania jest Dymysza. W swoim „rodzaju”, urobionym już zapewne raz na zawsze, imponuje opowaniem środkom aktorskich. Wspaniale wyraża mimiką twarz, przeważnie nieruchomą i zasmuczoną, jest niezmiernie wstrząsliwa i dlatego silna i pewna, dykeja przystająca jak ulał do wartości uczuciowej słowa—wszystko to stanowi o rzadkiej dynamice komizmu. Jakże wynosi to jego kreację ponad zalotne uśmiechy Wawrzkowicza i wdzięczne minki Obarskiej albo Gabrielli!

BOHDAN KORZENIEWSKI

PSYCHOLOGJA

I. P. PAWŁOW, CH. S. SHERRINGTON, E. D. ADRIAN: *Mózg i jego mechanizm*. Przełożyli, wstępem i przypisami zaopatrzyli D-r Jerzy Konarski i D-r Jerzy Miller. Warszawa 1935, Mathesis Polska.

Pod tym tytułem przetłumaczono i zebrano sześć różnych artykułów, napisanych przez czołowych przedstawicieli fizjologii. Tłumacze, dr. Jerzy Konarski i dr. Stefan Miller, dodali swój wstęp, w którym usprawiedliwiają dobór i zestawienie artykułów. Artykuł E. D. Adriana (s. 15—34) streszcza badania nad tem, w jaki sposób podrażnienia narządów receptywnych wywołują impulsy w dośrodkowych włóknach nerwowych, wykazując drogę eksperymentalną, iż dostepne badaniom komórki kory mózgowej pracują podobnie jak i włókna nerwowe, t. j. zapamięć rozmaite rytmyki. Artykuł Ch. S. Sherringtona (s. 34—65) wtajemnicza nas w badania nad funkcjami ośrodków nerwowych mózgu, o których tylko wnioskować możemy na podstawie rezultatów pracy ośrodków nerwowych, bo nie potrafimy dotrzeć wgląd układu nerwowego tak, aby przychwycić komórki nerwowe bezpośrednio przy ich pracy. Instrumentem tych badań są reakcje organizmu na podniecie i ich kombinacje, z czego wnioskujemy dopiero o ukrytych procesach: pobudzenia i hamowania, rozgrywających się w mózgu. Cztery artykuły I. P. Pawłowa (s. 65—165) opisują badania jego nad czynnością kory mózgowej przy zastosowaniu metody odru-

chów uwarunkowanych, t. j. nabytych przez osobnika drogą doświadczenia życiowego. Ponieważ odruchy warunkowe są wynikiem pracy kory mózgowej, tak jak odruchy proste są wynikiem niższych ośrodków nerwowych, przeto można dowiadywać się o czynnościach kory mózgowej, wytwarzając u zwierząt odruchy warunkowe drogą różnych pomysłowych zabiegów. „Kora mózgowa wykonywała w najrozmaitszym stopniu analizę i syntezę podnieć, które na nią padają, co może i powinno być nazwane elementarnym, konkretnym myśleniem (147). Pawłow proponuje nazwać te funkcje wyższą czynnością układu nerwowego zamiast dawniej używanej nazwy „czynność psychiczna” (148). Oprócz tego istnieje też dodatkowe, specjalnie ludzkie myślenie, które operuje już nie pierwotnymi konkretnymi sygnałami rzeczywistości, lecz wtórnie, oderwanymi, jakimi są wyrazy mowy (163). Pawłow wskazuje na związek ścisły fizjologii z psychologią i podkreśla, że behaviorysty mimo wysiłków nie potrafili utrzymać rozdziału fizjologii od psychologii behaviorystycznej. Wszyscy trzej autorowie, których artykuły złożyły się na książkę, stoją na gruncie biologicznie ujętej psychologji, ale biologję interpretują mechanicznie. Taka interpretacja znajduje wielu zwolenników, w Ameryce i Rosji zwłaszcza, ale znajduje też poważną liczbę przeciwników, którzy uważają fizjologję i behaviorystykę za pomocnicę psychologji.

Wydana przez „Mathesis Polską” książka odznacza się dobrym przekładem i potoczystym, jasnym stylem. Niewątpliwie pomaga ona do zorientowania się w fizjologicznych badaniach nad wyższymi czynnościami układu nerwowego.

DR. JAN DEMBOWSKI: *W poszukiwaniu istoty życia*. Warszawa 1935, Mathesis Polska.

Autor, zamiast dawać czytelnikowi gotowe fabrykaty, oprowadza go po laboratorium, pokazując zjawisko życiowe jednego pierwotniaka, mianowicie pantofelka (*paramecium caudatum Ehrenberg*). Opisawszy jego budowę, autor podaje pantofelek różnym doświadczeniom, byśmy mogli obserwować jego ruch, potem różne trudności, że tylko z wielkiej odległości wydalania i rozmnażania. To wszystko jest przedstawione tak żywo, tak poglądowo i przy pomocy tablic, że chwiliami zdawać się może, iż pantofelek popisuje się zawilami, niekiedy tajemniczymi przejawami swego życia przed naszym wzrokiem, uzbrojonym w mikroskop, jakby dla udowodnienia, że tylko z wielkiej odległości wygląda ono tak prosto, gdy faktycznie niektóre przejawy nie ustępują ludzkim (77, 338, 340). Do tych należą zjawiska panieci i uczenia się, które autor bada nie pod kątem ich swoistej jakości, zwanej psychiką, lecz pod kątem warunkujących je przemian materialnych (337, 338), analogicznych u człowieka i pantofelka. W ten sposób ma być naprawiona choć w części krzywdą, jaką ludzie wyrządzają pierwotniakom, posuwając się do własnej nieusprawiedliwionej megalomanji (353). Niejeden czytelnik zapyta może, czy autor nie wyrządza jednak krzywdy człowiekowi, podnosząc za wysoko pantofelka, a stawiając za nisko człowieka, opierając się na analogjach tak odległych! Znaleźli się tacy biologowie i psychologowie napewno.

Książka Dembowskiego jest znakomita, gdy podaje „historję naturalną jednego pierwotniaka”, budzi jednak zastrzeżenia, gdy sugeruje teorię psychologiczną, które obecnie przechodzą kryzys w biopsychologji.

X. P. CHOJNACKI

K R O N I K A

Ś. P. KONSTANTY SROKOWSKI

Zmarł nagle. Nie wytrzymało serce—ciśnienia tyłu atmosfer barbarzyństwa, które—płynąc szeroką falą w powojennej Europie—w ostatnich latach przybrało na sile i gwałtowności.

A ś. p. Konstanty Srokowski był właśnie z „rodu” Europejczyków—w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Umysł głęboki i trzeźwy łączył przedziwnie z wiarą, że—jednak „będzie lepiej”. Jasno patrzył na zjawiska społeczne, starając się na ostrożnej i sumiennej obserwacji oprócz możliwie precyzyjnych wniosków. Nie gubił się w mętach i pławach metafizycznych. Ale mimo, że diagnoza nie przedstawiała dlań wątpliwości, chciał *contra spem sperare!* Niestety—rzeczywistość przeciwstawiała brutalne ciosy tym nadziejom.

Srokowski pilnie i uważnie śledził bieg życia politycznego w skali światowej. Jego artykuły z zakresu polityki międzynarodowej w *I. K. C.*, sygnowane *Pom.*, czytało się zawsze z satysfakcją. W eleganckiej formie, miejscami ironiczne, a zawsze dowcipne dawały świadectwo bystrzej orientacji autora, jego szerokim horyzontom myślowym, kulturze pełnej *esprit* i swoistego *charme'u*. Doskonale znałwa stosunków (zwłaszcza sowieckich i niemieckich) umiał Srokowski, jak nikt inny, w jednej anegdocie zawrzeć sens i wagę doniosłych i skomplikowanych nieraz problemów. Styl plastyczny i barwny oddawał wszystkie odcienia i półtony myśli tego utalentowanego publicysty, dla którego praca w prasie była w znacznej mierze—misją. A pełnił ją odpowiedzialnie i rozumnie.

Człowiek o dużym doświadczeniu, rozległym odczytaniu, interesujący *causeur* słuchany był zawsze z uwagą dla bystrości sądów. Pamiętam, jak po odczycie o „filozofji prawa w Sowietach” w Krakowskim Towarzystwie Filozoficznym ś. p. Srokowski dowcipnie wskazywał w dyskusji na niezmiennność niektórych urządzeń prawnych, które swymi korzeniami sięgają tak głęboko, że tych instytucji wyrugować niepodobna, a jedynie nazwy się zmienia w tych wypadkach, kiedy chce się podkreślić rzekomą—nowość i rewelacyjność. I tak np. w Sowietach—mówił—„izolator” zastąpił „burżuazyjne” więzienie, ale też tylko w terminach wyraziła się cała „rewolucyjność” zmian na tym odcinku. Tak zawsze docierał Srokowski do sedna spraw, nie ulegając żadnym złudzeniom, terminologicznym czy innym.

Głębokim swym zainteresowaniem socjologicznym, szlachetnej pasji poznanania prawdy dawał Srokowski wyraz też w licznych pracach i szkicach. Szczególnie cenna jest ostatnia praca Srokowskiego: *Elita bolszewicka* (Kraków 1927). Srokowski wskazuje z kunsztem ostrowidza, jak zalamują się wszelkie doktrynerskie mrzonki na krawędzi selekcyjnego mechanizmu socjalnego.

W życiu politycznym brał Srokowski udział nie tylko jako pisarz i współpracownik pism codziennych (m. i. *krakowskiej Nowej Reformy* do r. 1928). Posłował też do Sejmu galicyjskiego, pracował w N. K. N-ie. Wiadomo—jak niewdzięcznym terenem bywa życie polityczne. Srokowski mógł mieć przeciwników, którzy się z nim nie zgadzali, i zwalczali go. Nikt jednak nie mógł odmówić Zmarłemu szacunku i uznania jego walorów i zasług.

Odszedł patrzyta gorący, który jednak nie zacieśniał swego widnokręgu umysłowego do spraw jedynie Polski. Właśnie przez zrozumienie drugich chciał uczyć miłości swoich. Życie ś. p. Srokowskiego wypełnił trud wielki. Przed nim należy czoło pochylić.

AL. S.

ŚWIĘTO KSIĄŻKI W WARSZAWIE

W dniu 16 czerwca urządziło Towarzystwo Oświaty Dorosłych w Warszawie doroczne święto oświatowe, które w bież. roku odbyło się pod znakiem propagandy książki i czytelnictwa. Piszę w *Pionie* o tem święcie nie dlatego, by tak wspaniale udało się, czy żeby można było dopatrzeć się rewelacji w przeprowadzeniu święta. Organizatorzy mieli dobre pomysły, niestety, pomysłów tych starannie nie przeprowadzili.

Godna uwagi jest impreza dla innych względów. Oto została ona przeprowadzona prawie wyłącznie siłami młodzieży ze wsi i w tem właśnie leży największa wartość imprezy. Do tej pory bowiem propagujemy książkę wśród młodzieży; że młodzież sama w tej propagandzie może wziąć czynny udział—o tem nie pomyśleliśmy.

Sposób na wciągnięcie młodzieży ze wsi do akcji propagandowej na rzecz książki i czytelnictwa został pomysły zupełnie interesujący. Głównym punktem uroczystości było widowisko na wyspie w Łazienkach, mające w 9 odegranych przez młodzież większą obrazach zilustrować 900-letnie dzieje piśmiennictwa i oświaty w Polsce; po niem odbyła się (oczywiście przygotowana wcześniej) dyskusja młodzieży na temat ustawy bibliotecznej. Wykonanie przez młodzież inscenizacji—niestety nie zawsze wybrano do nich najbardziej charakterystyczne utwory naszego piśmiennictwa—nie było potraktowane jako cel sam w sobie. Poszczególne obrazy zostały opracowane każdy w innej wsi czy miasteczku przez młodzieżowe zespoły samokształceniowe niejako już na zakończenie programowej pracy nad odczytaniem piśmiennictwem, Praca zaś ta odbywała się na przestrzeni całego roku „szkolnego” i posługiwano się w niej wszelkimi znanymi w działalności oświatowej formami a przedewszystkiem konkursami dobrego czytania, formą nową, niedawno wprowadzoną, ale zdobywającą z każdym dniem coraz większą popularność.

Uroczystość w teatrze łazienkowskim, poprzedzona pochodem oświatowym po ulicach miasta a zakończona dyskusją nad ustawą biblioteczną i rozdaniem nagród wyróżnionym uczestnikom konkursów dobrego czytania, była tedy ostatnim etapem cennej i pozytywnej pracy, prowadzonej przez młodzież z dużym zapałem.



L. GOTTLIEB

Rybacy (1926)

Uważam, że nawet mimo licznych niedociągnięć, jakie dały się zauważyć w organizacji uroczystości, mimo nieco „familijnego” charakteru oglądanego przez licznych widzów przedstawienia, impreza i tak zasługuje na szczerzy poklask. Jestem pewien, że właśnie na takiej drodze książki „pod wiejskie strzechy” trafi najprędzej.

JAN SZCZAWIEJ

PRZECHADZKI PO POZNANIU (Stanisław Latanowicz)

Poznań szczerzy się posiadaniem *Przechadzek po mieście* Marcellego Mottego. Niezrównany gawędziarz wydał w latach 1889—1891 pięć tomów ujmujących opowieści o każdej prawie poznańskiej kamienicy i o każdym z ważniejszych obywateli Poznania. Dla miłośnika dziejów Wielkopolski są to *Przechadzki* nadzwyczaj ciekawą i cenną lekturą, nieprzebraną skarbnicą różnych wiadomości i wiadomości. Nic więc dziwnego, że wolontariusz Biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk, p. Karol Koczorowski, powieścił niedawno *Skorowidz do Przechadzek po mieście*, pragnąc czytelnikom ułatwić pracę wyszukiwania notatek, a zarazem lekując się, że pośpieszne przewracanie kart może zniszczyć kruche strony. Indeks osobowy i rzeczowy z pięciu tomów nie przynosi, niestety, wielu nazwisk znanych mi oryginałów poznańskich, o których z rozkoszą pogawędziłby Motty, gdyby mu dane było zaliczyć ich do swej galerii.

Pragnę więc uzupełnić *Przechadzki po mieście* kilku notatkami o ginącym typie oryginałów.

Zaglądam na ulicę Cieszkowskiego. Pod pierwszym numerem, na pierwszym piętrze, mieszka tam zaprzysiężony rewizor ksiąg Stanisław Latanowicz.

W saloniku na honorowym miejscu wisi fotografia Marszałka Piłsudskiego, z następującym podpisem: „Panu S. Latanowiczowi z wdzięcznością za dokument familijny—Józef Piłsudski. Belweder 21. IX. 1929”.

Gospodarz z dumą pokazuje mi tę pamiątkę. Oglądamy zbiory. Mieszczą się w kilkunastu szafach. Osobno kilkaset tezek z niewydanymi listami, dokumentami, utworami. W następnym pokoju na półkach tysiące rycin, do których Latanowicz opracowuje kartotekę, gromadząc rytowników polskich, tematy polskie u rozmaitych nieznanych rytowników obcych, portrety, mapy i widoki.

Latanowicza wyraźnie bawi, że może spełnić najrozmaitsze me zachcianki. Proszę o tezkę Sienkiewicza. Jest. Kilka w niej niewydaných wierszy autora *Trylogii*, kilkanaście nieogłoszonych listów. Zamawiam tezkę Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, to znów Kościuszki, Raczyńskiego, czy Libelta. Oczywiście są. W każdej drobniak conajmniej, czasami rzecz cenna. Zbiory sięgają w wiek XVIII, XVII, XVI, ba! ma Latanowicz nawet jakiś dokument z 1243 r., to tylko psuje mu humor, że ten dokument jest sfałszowany.

— Jak pan doszedł do tych skarbów?—pytam zdumiony.

— Praca zawodowa, rewidowanie ksiąg, wyrobiła we mnie manję zbieracza. Wszystkie oszczędności wkładałem w zbiory. Potem zacząłem ogłaszać przyczynki i organizować wystawy. Od kilku lat zasilałem w znacznej mierze historyczne wystawy poznańskie.

Nie znam się na fachowych dziełach Latanowicza. Pokazuje mi opasłe księgi z niepokojącymi tytułami: *Tajemnice i fałszerstwa księgowości i bilansów*, *Rewizja księgowości*. Tuż obok tych zagadkowych dla mnie foliów leżą jednak książki żywo mnie obchodzące, np. *Satyra i polemika prasowa z przed stu lat, Kalendarzyk Powstania 1830—1831 r.*, książki świadczące o tem, że samouk Latanowicz nie zgłębił zasad naukowego opracowywania materiałów, ale zato nagromadził szczegółów tyle, że niejedynemu naukowcowi mogłoby się nimi pożywić.

W przygotowaniu ma Latanowicz spis imienny *Powstańców, Wojskowych i Polityków w powstaniu 1830—31, Co pisano o Wielkopolsce w czasie Powstania Listopadowego, Śmierć generała Sowińskiego* i kilka jeszcze innych rozpoczętych opracowań.

— Nie mogę sobie teraz pozwolić na wydanie tych manuskryptów—narzeka.—Muszą poczekać. Tymczasem porządkuję zbiory.

Z tego porządkowania korzystało w ostatnich latach głównie Muzeum Wielkopolskie, w którym przedewszystkiem pojawiały się na wystawach ryciny, używane przez Latanowicza.

Setki ich pokazano na wystawie „Wojen Polskich”, „Powstania Listopadowego”, „Grafiki Polskiej”, „Anielskich szychów”, „Aleksandra Orłowskiego”, „Okresu Stefana Batorego”, „Kultury polskiej w Gdańsku”, „Dawnej Polski w grafice”. Muzeum Wojskowe urządziło głównie ze zbiorów Latanowicza „Wystawę pamiątek po 1848 r.”. Legja Inwalidów Wojsk Polskich jemu zawdzięcza wystawę „Pamiątek po 1863 r.” i „Konstytucji 3-go Maja”. Na wystawie „Przyrody i Zdrowia” Latanowicz miał osobny pawilon, w którym przedstawił przyrodę i zdrowie w historycznych dokumentach. Do Gdańska, na Międzynarodową Wystawę Filatelistyczną, powędrowały znaczki polskie ze zbiorów Latanowicza.

Oglądam katalogi, podziwiam przyznane Latanowiczowi nagrody i wyróżnienia i coraz głębszy żywię szacunek dla tego niebezpiecznego manjaka.

Zaprzysiężony rewizor ksiąg spadkobierca prac Działyńskich, Raczyńskich i Zamojskich. Jakże się czasy zmieniają!

STEFAN PAPEŁE

JESZCZE O ODYŃCU

I

Rozprawa moja o *Listach z podróży* Odyńca spotkała się z różnymi sprzeciwami, ażeby więc uniknąć nieporozumień, pozwolę sobie dodać do niej kilka objaśnień. Pisałem zwięźle, uprzedzając na dostarczeniu wskazówek, któreby umożliwiły każdemu sprawdzenie faktu, że *Listy* te nie są żadnym źródłem naukowym do Mickiewicza. Gdyby kto chciał rozwodzić się na ten temat szeroko i czynić dokładne zestawienia, mógłby napisać obszerne dzieło, foljał akademicki. Wydanie takiego dzieła kosztowałoby kilka tysięcy, a w rezultacie przeczytałoby je może pięciu ludzi, badających naukowo Mickiewicza. Wychodząc z tego założenia, ograniczyłem swą pracę do zwięzłego szkicu, w obieg zaś księgarski puściłem zaledwie 30 egzemplarzy, licząc nawet za dużę.

Sama historia mej pracy nad Odyńcem jest ciekawa. Jeszcze dwaście lat temu „Biblioteka Narodowa” wydawana przez Krak. Sp. Wyd., postanowiła wydrukować dawno wyczerpane *Listy z podróży* Odyńca. Na polecenie prof. Kallenbacha, powierzono mi opracowanie tego tomu. Zabrałem się do pracy i zmierzając już do końca, gdy do Krakowa przybył Władysław Mickiewicz. Przy omawianiu różnych projektów wydawniczych „Biblioteki Narodowej” zesła rozmowa na Odyńca i przygotowujące się do druku *Listy*. Wówczas Wł. Mickiewicz począł się wyrażać o wartości tych listów w sposób tak krytyczny i lekceważący, że kierownictwo „Biblioteki Narodowej” straciło pierwotny zapał do ich przedrukowywania. W ten sposób w oczach wydawnictwa została zdevaluowana i moja praca, włożona w opracowanie edycji. Otrzymałem więc dość niepokojące honorarium, druk zaś odłożono. Wreszcie po kilku latach zwłoki przystąpiono do druku w 1930 r., ale w trakcie tego nastąpiło bankrutstwo Spółki. Tak zawisnął dziwnie złośliwy los nad trzecim wydaniem *Listów z podróży* Odyńca.

Przystąpiwszy do pracy nad Odyńcem, zwróciłem się z prośbą o informację do ś. p. prof. Kallenbacha. Otóż otrzymałem ważną odpowiedź, że Odyńcie autentyczne listy, które mu służyły za podstawę do opracowania, spalili, by zatrzeć ślady popełnionej mistyfikacji. Wobec tego rozglądłem się za innymi jego listami z okresu podróży, które nie doszły jego rąk, a tem samem nie uległy zniszczeniu. Jedne z nich ogłoszono po śmierci Odyńca, inne przechowały się w zbiorach Biblioteki Rapperswilskiej. Omówiłem je w swej pracy. *Listy* autentyczne świadczy, że Odyńcie współczesnie nie notował żadnych bliższych szczegółów, odnoszących się do Mickiewicza. Również nie opisywał swych wrażeń, ani nie zdradzał głębszych zainteresowań archeologiczno-artystycznych. Był zresztą bardzo młody i nie miał danych ku temu, by mógł się zdobyć na ciekawe i samodzielne uwagi z tej dziedziny. Tymczasem w listach drukowanych przedstawił się nam jako sumienny kronikarz wielkiego poety oraz hystry obserwator Włoch, dobry znawca sztuki i t. d.

To wszystko są rzeczy robione później i stanowią zręczną kompilację, nad którą pracował cztery lata. Stwarzając fikcję oryginalności tych opisów, postępował Odyńcie dość naiwnie, grzeszył bowiem gadatliwością. *Listy z podróży* są pisane spokojnie, starannie, z rozległością starego gawędziarza, i obejmują cztery duże tomy. Odyńcie podróżował z Mickiewiczem 14 miesięcy, większość czasu spędzał w dyliżansie, na wycieczkach, na przyjęciach. Kiedyż więc miał czas napisać te dokładne, staranne listy?

Towarzysząc Mickiewiczowi, był Odyńcie wesołym, lekkomyślnym młodzieńcem. Używał życia i korzystał z laskawości protektora. Był obrotny i umiał się dobrze urządzać. Wiadomo z korespondencji Zaleskiego, że wydając *Melitele*, zbierał prace modych już wtedy romantyków, po przyjacielsku i wspaniałomyślnie kazał im się cieszyć sławą, że są drukowani, dochody zaś chował do własnej kieszeni. Nie wszyscy na to się godzili tak jak stawiający pierwsze kroki Słowacki albo lekceważący stronę pieniężną Mickiewicz. Na staroście był Odyńcie świadkiem wielkiej sławy Eckermana w Niemczech, przystąpił więc do redagowania swych *Listów* i wkrótce zdobył taką sławę, że powstał, jak trafnie powiedział Chmielowski, specjalny kult Odyńca, mający swych kapłanów. Świeżo mogliśmy stwierdzić, że kult ten jeszcze nie wygasł.

Co więcej, nawet badacze powołują się jeszcze na Odyńca. A nie są to rzeczy blahe. Tak np. wciąż utrzymuje się wersja, jakoby Mickiewicz planował w Rzymie dramat o Prometeuszu. Tymczasem podane przez Odyńca streszczenie tego pomysłu jest pełne sprzeczności i można je wyjaśnić sobie jako mętne odbicie pewnych poglądów, wygłoszonych w głośnym wówczas studjum Cybulskiego o *Dziadach*.

Powiedziałem w swej rozprawie, że *Listy* Odyńca można dziś traktować jedynie jako romans. To jednak nie może przysłać faktu, że Odyńcie wprowadzał opinię w błąd i odbierał wielkie hołdy jako sumienny kronikarz Mickiewicza. Nadto opisując Włochy, korzystał z opisów cudzych i podawał je za swoje. To samo czyni on zresztą w drugiej swej książce p. t. *Wspomnienia z przeszłości*. Tam wychwalał np. Kludyńkę z Działyńskich. Tymczasem przypomniał mi ją artykuł Pola i jego piękna, szczerą charakterystyką, którą bez ceregieli sparafrazował.

Dla celów naukowych wystarczy stwierdzenie tych faktów. Charakterystyczną kompilacyjną metodą Odyńca, posługiwałem się nieraz wyrażeniami dosadnymi.

Nie będę się zresztą spierał o nazwę takiej metody postępowania. Odyńcie jest za małą figurą, by się opłacało go sądzić albo badać psycho-

logicznie dwoistość jego duszy, która mu pozwalała łączyć część dla Mickiewicza z świadomym fałszerstwem. Dla celów naukowych wystarcza odrzucenie autentyczności jego *Listów*.

H. ZYCZYŃSKI

II

Moje uwagi na temat niezmiernie ciekawej (pod względem formy) pracy prof. H. Zyczyńskiego o *Listach* Odyńca (*Pion* Nr. 17) wywołały replikę autora na łamach *Mysli Narodowej* (Nr. 19). W replice tej pogromca Odyńca potraktował mnie z właściwą mu kurtuazją, recenzję uprzejmie określił jako „atak” i „nieprzyzwoite pouczenie”... w moim stanowisku wnikliwie dopatrywał się przejawów „specjalnego kultu dla Odyńca” (właśnie: s p e c j a l n e g o!), ale nie mógł zrozumieć jednego: czego ja chcę? Mówi p. Profesor: — „Jest dla mnie prawdziwą zagadką, czego właściwie chce ode mnie p. Charkiewicz”. To pytanie zmusza mnie do odpowiedzi, tem bardziej, że, jak się okazuje, ja sam nie wiem, czego chcę, gdyż, krytykując rozprawę prof. Zyczyńskiego, bronię ponoć głównej tezy autora.

Odpowiadam. Czego chcę od autora („ode mnie”? — Nie!.. Żadnych pretensyj personalnych nie zgłaszałem i nie mogłem zgłaszać, nie znając osobliście autora. Czego chcę w stosunku do książki? — O tem mowa w pierwszych słowach recenzji: pragnę, aby ona trafiła do rąk wszystkich historyków literatury — od studentów do najwybitniejszych badaczy, — aby się stała przestrożą. Dziś dodam jeszcze: ohy ci, którzy będą czytać rozprawę prof. Zyczyńskiego o *Listach* Odyńca, zechcieli również uwzględnić jego słowa na łamach *Mysli Narodowej*.

Prof. Zyczyński mówi tam: — „...ogłosiłem rozprawę przeznaczoną dla badaczy Mickiewicza”. „W ostatecznych wnioskach orzekłem, że *Listy* nie mają wartości dokumentu naukowego”. Czy z temi rewelacjami nie spóźnił się pan Profesor bodaj o kilkadziesiąt lat? Nie treść rozprawy prof. Zyczyńskiego jest rewelacyjna, lecz jej forma. Przecież, gdyby prof. Zyczyński w podobny sposób napisał o kimś z żyjących pisarzy, niezawodnie docekaliby się procesu sądowego o zniesławienie w prasie. I o co właściwie chodzi? Twierdzi p. Profesor, że *Listy* są romansem. Przypuśćmy na chwilę, że jest właśnie tak. Wówczas w konsekwencji należałoby, dajmy na to, o J. Wołoszynowskim, jako autorze *Słowackiego*, pisać tak: „jest to fałszerz, pozbawiony wszelkich skrupułów”, wypowiadać o „niepoczytalne brednie”, powieść jest „prawdziwym plagiatem”, będąc jednocześnie „mistyfikacją, zakrawającą na prawdziwą panamę literacką”.

Listy Odyńca nie są ani „panamą literacką”, jak twierdzi prof. Zyczyński, ani romansem, jak to głosi nietylko we własnym imieniu, ale i w moim. Gdyby prof. Zyczyński miał kiedyś w ręku autentyczne listy Odyńca do ojca i brata, które znajdują się u żyjącego obecnie bratanka poety i o którym na łamach *Tygodnika Ilustrowanego* pisali: w r. 1894 — Czesław Jankowski, a w r. 1932 niejaki W. Charkiewicz, — nigdyby nie powiedział o panamie i romansie. Bez znajomości tych listów, pisanych jednocześnie z *Listami* do Chodźki i Korsaka, bez znajomości literatury, dotyczącej tych listów i przy bardzo powierzchownej znajomości twórczości poety, — w najbardziej nawet namiętnej rozprawie, pisanej dla „badaczy Mickiewicza”, trudno przyjść do trafnych wniosków!..

WALERJAN CHARKIEWICZ

*

JUBILEUSZ PROF. OSKARA HALECKIEGO

Przed kilkoma dniami w gmachu Towarzystwa Miłośników Historji na Starem Mieście odbyła się uroczystość uczczenia 25-lecia pracy naukowej profesora historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim dr. Oskara Haleckiego, zorganizowana przez uczniów Jubilat. Na uroczystości jubileuszowej byli obecni: Rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Dziekan Wydziału Humanistycznego oraz liczne grono profesorów Uniwersytetu, wybitnych przedstawicieli nauki historycznej tudzież młodzież akademicka. W imieniu byłych uczniów Profesora przemawiał doc. H. Paszkiewicz, w imieniu obecnych — p. T. Gostyński, w imieniu Towarzystwa Miłośników Historji — prof. St. Kętrzyński, w imieniu Towarzystwa polsko-węgierskiego — prof. A. Diveky, wreszcie przedstawiciel młodzieży szkoły nauk politycznych, w której prof. Halecki również wykladał. Najważniejszym momentem tej uroczystości było wręczenie Jubilatowi ozdoby księgi, wydanej przez uczniów na cześć profesora a zawierającej ich prace naukowe.

Wszyscy mówcy, życząc Jubilatowi dalszej owocnej pracy dla kraju i nauki, podkreślali jego wybitne zasługi jako uczonego, autora szeregu prac z historii Polski i Litwy, zwłaszcza z epoki jagiellońskiej.

Z pośród bogatego dorobku naukowego prof. Haleckiego (dorobek ten stanowią 262 pozycje bibliograficzne) należy wymienić przedewszystkiem następujące prace: *Dzieje Unji Jagiellońskiej*, *Ostatnie lata Świdrygielny, Przyłączenie Podlasia, Wołynia i Kijowszczyzny do Korony w r. 1569, Zgoda Sandomierska, Dwa ostatni Jagiellonowie*, *Litwa, Ruś i Zmudź jako części składowe W. Księstwa Liteńskiego, Un Empereur de Byzance à Rome* i w. in.

W ciągu swojej kilkunastoletniej działalności na Uniwersytecie Warszawskim w charakterze profesora potrafił Jubilat skupić grono uczniów i zachęcić ich do studjów. Niektórzy z nich, zwłaszcza starsi, publikowali swoje prace i dziś zaj-

mują samodzielne stanowiska w świecie naukowym.

Podkreślano również w czasie jubileuszu wybitne zasługi prof. Haleckiego w dziedzinie propagandy nauki polskiej zagranicą czy to na Komisijskiej Współpracy Umysłowej Ligi Narodów, czy na zjazdach międzynarodowych historycznych, czy wreszcie przez wykłady, które prof. Halecki tak często wygłaszał i wygłasza na różnych uniwersytetach zagranicznych zwłaszcza Europy Zachodniej.

W barwnym, z polem wypowiedzianem przemówieniu dziękował na zakończenie uroczystości prof. Halecki za ofiarowaną mu księgę i złożone życzenia.

H. P.

NADESŁANE

Ukazał się IV zeszyt *Marcholta*, w zwiększonej nieco objętości.

Trzeci. Od Redakcji: Ostatni apel (z okazji zgonu Marszałka). Józef Piłsudski: Kilka myśli. Stanisław Pigoń: Romantyk. Artur Górski: Piłsudski i młodzież. Benedetto Croce: Antyhistoryzm. Marja Dąbrowska: Zawód literacki jako służba społeczna. Wojciech Bąk: Liryki. Roman Dyboski: Literatura i moralność. Wacław Borowy: T. S. Eliot jako krytyk literacki i teoretyk tradycji. Kazimierz Wyku: Prądy duchowe wśród młodzieży francuskiej. Stanisław Zabierowski: To nie wpływołoga! Tadeusz Makarewicz: Papierowy świat.

Kronika.—Artur Górski: Zwrot ku człowiekowi, cz. II. Franciszek Mleczko i Tadeusz Makarewicz: Sprawa wsi. Spiritus Theatralis: Teatry państwowe. H.: Muzyka polska w niebezpieczeństwie. Ewa Rostkowska: Pojęcie tendencji w sztuce. Stanisław Zabierowski: Słowacki a Franca (o książce Wł. Folkierskiego).

Czytelnik Pionu wysłucha w „Polskim Radjo”

OD 7 DO 13 LIPCA

7. VII. g.
12.03: *W ognistej Andaluzji* feljton Z. Kleśczyńskiego.
13.00: Fragment z dram. Wiktora Hugo *Hernani* w opr. R. Zrębowicza.
16.00: Utwory fortepianowe kompozytorów polskich w wyk. M. Jonasówny.
16.45: *Typy powieści egzotycznej* szkic liter. dr. W. Jampolski (Lwów).
20.00: *Piłsudski, realizator Niepodległości* odczyt dr. W. Lipińskiego.
20.45: *Myśli Józefa Piłsudskiego*.
8. VII. g.
19.30: *Wędrowna Mikrofonu*.
19.50: *Co czyta? Poezje o Józefie Piłsudskim* omówi Wł. Sebyła.
21.00: Koncert symfoniczny. Ork. Symf. P. R. pod dyr. G. Fitelberga oraz Henryk Sztompka (fortepian).
9. VII. g.
18.10: *Minuta poezji*.
20.10: *Aleko* opera w 1-m akcie Serg. Rachmaninowa.
21.10: *Wesele polskie*. Suita baletowa F. Nowowiejskiego w wyk. Ork. Symf. P. R. pod dyr. kompozytora.
10. VII. g.
19.30: Drobne polskie utwory fortepianowe w wyk. Luc. Robowskiej.
20.50: *Henryk Wieniański* genjusz gry skrzypcowej (w 100-ną rocznicę urodzin) odczyt dr. Józefa Reissa (Kraków).
11. VII. g.
18.10: *Minuta poezji*.
21.30: *Sąsiedzi*. Słuchowisko Adolfa Uzarskiego.
12. VII. g.
19.30: Recital śpiewaczy W. Werwińskiej (sopran).
13. VII. g.
16.50: Recital fortepianowy N. Weismann-Huhlerowej (Kraków).
18.10.: *Minuta poezji*.

Książki nadesłane do Redakcji

POEZJE

ALEKSANDER PUSZKIN. I. *Domek w Kolonnie*. II. *Mozart i Salieri*. Przełożył Wł. Słobodnik. Warszawa 1935.

LORD DUNSANY. *Noc w oberży*. *Błyszcząca brama*. *Gdyby Shakespeare żył dzisiaj*. Biblioteka dramatyczna „Drogi”. Nr. 9. Warszawa 1935.

C. F. RAMUZ. *Historja o żołnierzu*. Biblioteka dramatyczna „Drogi”. Nr. 10. Warszawa 1935.

STUDJA LITERACKIE

MARJAN PIECHAL. *Aniol i Jakób*. Trzy dialogi o Adamie Skwarczyńskim. Warszawa 1935. Wydawnictwo „Droga”.

SZ. PRENUMERATORZY WYJEŻDŻAJĄCY NA WYWCZASY LETNIE PROSZENI SĄ O PODAWANIE NOWYCH ADRESÓW TELEFONICZNIE LUB KARTĄ POCZTOWĄ

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna. Sp. z o. o., Warszawa, Septelna 10.